Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Rok II Warszawa, 7 października 1934 r. Nr. 18/19

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Prenumerata Kwartalnie w kraju zł. 3.— zagranicą zł. 4. —

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. w tekście zł. 1.— za tekstem 80 gr.

Redakcja i Administracja Warszawa, Grójecka 45 m. 15

Telefon 9-40-17
Konto P. K. O. 28.390

Redakter przyjmuje codz. od 5 — 7 pop.

Wychodzi dwa razy w miesiącu

PIĘĆ LAT

Trudno uwierzyć — ale tak jest. W stolicy 33-miljonowego Państwa kulturalnego są ludzie, którzy przekłówają uszy dziewczynkom, aby nie chorowały na oczy; opierają się odwszeniu, aby nie cierpieć na ból głowy. Ludzie ci, gdy widzą atak sercowy, kładą człowieka i kolanami przyciskają serce, aby zwolniło tempa. Kobiety wśród nich uważają, że choroba po odbyciu połogu — jest koniecznością, i nie rozróżnia słabości zwykłych od wenerycznych, czy jakich innych. Są rodziny całe, wymierające na wszelkiego rodzaju „zaziębienia" czy też „boleści" bez lekarza, bo sami nie wierzą, że stan, który przechodzą, jest chorobą. Dla nich przychodnia nic nie uczyni, bo do niej nie pójdą. Trafiają tam wszelkiego rodzaju zamawiacze, babki, sąsiadki, znachorzy — licho wie kto — tylko nie pomoc istotna, gdyż do niej się nie zwrócą — nawet o istnieniu jej częstokroć nie wiedzą.

Właściwie powinno się w Warszawie, pośród ludności naszych przedmieść przeprowadzać permanentne rewizje zdrowotne—tylko taka organizacja położyłaby kres niesłychanej jeszcze śmiertelności w naszym kraju. Bezrobocie, kryzys, nędza, dały przecież w ręce jeszcze jeden sposób wyławiania tych, najmocniej przynajmniej, dotkniętych chorobą. Tym sposobem jest — głód.

Głód wypędza z domu matkę rodziny, kiedy ojciec już zupełnie zniechęcony i ubezwładniony położył się na barłogu w przeświadczeniu, że nic nie poradzi. I oto idzie kobiecina — idzie po pomoc, uzyskać kartkę na obiady. Tu właśnie styka się z organizacją, która, badając jej stan materjalny, zapytuje i o zdrowie i jej i członków rodziny. Kobieta bardzo często nie chce o tem mówić, ba, wścieka się, że kiedy prosi o przyodziewek, czy parę butów dla dziecka, zaczynają ją pytać o sprawy i rzeczy, które znosiła bez szemrania i uważała za naturalne. I trzeba przekonywać, że musi się poddać badaniu, że w jej interesie leży wypełnienie wszystkiego, co lekarz zleci.

Leczenie, kurację, niejednokrotnie oddanie dziecka do szpitala, trzeba czasem wymusić na człowieku, wymusić na tej ciemnej jednostce, która wszystkiego się boi.

Ale ten skrajny przymus jest oczywiście najmniej skuteczny, gdyż przedewszystkiem wywołuje bunt. Trzeba działać przekonaniem, uświadomieniem — uświadomieniem indywidualnem, przez tłumaczenie człowiekowi jego własnego stanu i uświadomieniem szerszem, przez pogadanki, przez pokazy. Ten pierwszy mamy już w chwili samego leczenia, kiedy już się złapało chorobę na gorącym uczynku — ten drugi — to część wielkiej działalności profilaktycznej, przygotowujący człowieka do obrony przed możliwością choroby, wytwarzający grunt do przeciwstawienia się jej, do zyskania sprzymierzeńca w człowieku przeciwko jego własnemu wrogowi.

Wszystkie instytucje inne, higjeniczne, tworzą organizacje poradniczo - lecznicze, jako przystanie dla tych, którzy rozumieją ich konieczność. Dział zdrowia Sekcji PM i D. OKPS wytworzył organizację ofensywną, poszukującą nieprzyjaciela po zakamarkach naszego życia, tępiącą go tam, gdzie nikt inny nie dotrze. Opiekunka odwiedzająca rodziny, badająca ich stan, lekarz, stawiający

djagnozę i kreślący plan leczenia, higjenistka wykonująca zabiegi, aparat łącznikowy, przekazujący wypadki specjalne wszelkiego rodzaju instytucjom leczniczym — to wszystko zwarło się tu w jedną całość. Niema instytucji społeczno lekarskiej, do której nie skierowanoby klijentów Sekcji — niema takiej instytucji, z którąby życie nie zmuszało do ciągłej styczności i ciągłej współpracy. W wielu wypadkach instytucja taka nabiera przez Sekcję P. M. i D. właściwej racji istnienia, bo znajduje łącznik z życiem, łącznik, którego tak strasznie brak nieraz się odczuwa.

Pięć lat tego rodzaju pracy minęło. W świeżo wydanej książce: „Dla przyszłości", kierowniczka tego działu pracy, p. Helena Freymanowa podaje cyfry i doświadczenia ostatniego roku. Nie będziemy ich powtarzali. gdyż jakkolwiek chodzi tu o tysiące rodzin i dzieci — jest to kropla w morzu wobec potrzeb istotnych i będzie kroplą w morzu tak długo, póki swojej działalności zdrowotnej nie oprze na wyrobionych w ten sposób podstawach samorząd stolicy. Nie ilość też udzielonej pomocy jest największą zdobyczą Sekcji P. M. i D. Zdobycz istotną stanowi metoda, polegająca na uczynieniu z opieki zdrowotnej nie oderwanej całości, ale części pracy opiekuńczej nad człowiekiem, części pozostającej w ciągłej, nieprzerwanej łączności z całością; części wyciskającej swe piętno na wszystkich sąsiednich działach, stawiającej swe postulaty i w dziedzinie ubrania i żywienia i wychowania; części przyjmującej coraz dane, dostarczane przez sąsiednie działy. Zdobyczą niewątpliwą i niesłychanie doniosłą jest cała organizacja wewnętrzna, w której specjalista lekarz oddaje swe usługi do dyspozycji społecznika - higjenisty, wytwarzając zupełnie swoisty aparat „szturmowy", powiedzielibyśmy, w ten sposób, że akt pomocy staje się jednocześnie bodźcem do ogólnego podniesienia aktywności życiowej, a przyjęcie pomocy podnosi człowieka w jego własnych oczach, jest bowiem przełamaniem bierności, zmożenia nałogów ciemnoty, pokonaniem abulji.

Niestety, tego społecznego charakteru działu zdrowia narazie jeszcze nie docenia się. Praca jego nie spotkała nie tylko należytej oceny, ale i zainteresowania ze strony najbardziej powołanych czynników, ze strony najbardziej zbliżonych bodaj fachowo do niego jednostek. W chwili, kiedy się mówi bardzo szeroko o „domowych lekarzach", ubezpieczeniowcach—właśnie to jedyne laboratorjum domowego lecznictwa jest biorącym udział w dyskusji prawie nieznane — choć istnieje powiadamy już pięć lat, choć może się pochlubić dużemi wynikami, choć — ma i ten atut, że jest nie tylko w stolicy, ale i w kraju, instytucją jedyną — a jedną z niewielu na świecie.

I w znacznym stopniu właśnie dla tego tak pusta i tak często teoretyczna jest owa dyskusja o lekarzach domowych. Właśnie dlatego tak wiele jest i braków w dyskusji o lecznictwie społecznem.

Cóż? Trzeba tę obojętność przełamać. Dział Zdrowia S. P. M. i D. przełamał ją pracą. Przełamywać i nadal będzie. A — mający uszy — niech słyszą. *An.*

W walce o człowieka

I.

Żyjemy w złych czasach, okrutnych „na zimno", gdy człowiek dla człowieka doprawdy staje się wilkiem. Jako następstwo zatrutego posiewu wojny—życie człowieka utraciło całkowicie swoją wartość w jego własnych i w oczach jego bliźnich. Nienawiść i cynizm rozkwitły natomiast pysznym kwiatem. „Jak zaraza niszczy i zabija organizm ludzi, tak nienawiść zatruwa i gubi duszę. Dotknięci nią ludzie stają się mordercami" mówi słynna humanistka Irena Harand. Takich osobników o krwiożerczych instynktach mamy obecnie bez liku. Oni to, zimni i wyrachowani zabójcy, kilkakrotnie strzelają w już stygnące ciała swoich ofiar — ś. p. Hołówki i min. Pierackiego. Bezlitośni dręczyciele — nie dopuszczają, oni, mordercy, pomocy lekarskiej do konającego kanclerza Dollfussa, umierającego z powodu utraty krwi. Iluż to szkodników i zwyrodnialców ma obecnie możność dawania upustu niszczycielskim popędom, męcząc i dręcząc tysiące ofiar, wyrzucając na głód i chłód rzesze pracowników, pozbawiając dachu nad głową ludzi stojących na kraju przepaści. Złe i ciemne Moce tryumfują na świecie złym przykładem szerokim masom. A mimo to, o ile nie stoimy w obliczu upadku całej kultury zachodniej — ani na chwilę nie powinniśmy się wyrzec się walki o człowieka, o godność jego oraz o wielką wartość życia ludzkiego. Wierzymy, i nigdy nie przestaniemy wierzyć w dobrego „genjusza" człowieka normalnego, w potęgę dobrej woli w każdym niezdegenerowanym homo sapiens, człowieku masowym, człowieku „z ulicy". Walka ta o człowieka, o podniesienie jego fizyczne i duchowe, o uzdrowienie środowiska jego i otoczenia, (hasło: fizycznie i moralnie zdrowy człowiek w zdrowem fizycznie i duchowo otoczeniu), walka o naprawę obecnego ustroju społecznego w ogromnym stopniu niesprawiedliwego drogą ewolucyjną, właściwie powinna stać się jednem z najważniejszych zadań zbiorowego ciała lekarskiego. Lekarz jest z istoty swego zawodu naturalnym obrońcą krzywdzonych — mawiał wielki lekarz Wirchow. Przed lekarzem nikną pomiędzy ludźmi wszystkie sztuczne różnice stanu, i wszyscy ludzie są równi, bo wszyscy jednako moralnie i fizycznie są zorganizowani i wszyscy ulegają jednakim warunkom bytu... Medyk musi być demokratą wobec niwelującej natury swojej nauki — twierdził głęboki i mądry lekarz polski Kowszewicz... Myśl ta o wielkich społecznych zadaniach lekarza stopniowo i powoli zaczyna znajdować coraz więcej zwolenników w świecie lekarskim. W odezwie Zarządu Zjednoczonych Lekarzy czytamy m. in.: „Musimy stwierdzić, że na naszym terenie w dotychczasowym biegu zdarzeń stan lekarski nie zajął należnego stanowiska do przemian i haseł doby obecnej, ustosunkował się biernie, niejako czekał aż społeczeństwo wskaże mu właściwe stanowisko i światopogląd na pracę społeczno-lekarską. Bierność ta wyrządziła dużo krzywdy i światu lekarskiemu i społeczeństwu... Trzeba zerwać wreszcie z tą biernością... Coraz częściej dają się słyszeć podobne głosy. Naturalnymi sprzymierzeńcami świata lekarskiego w jego walce i pracy tej biosocjologicznej (przeistoczenie człowieka oraz społecznych jego urządzeń) są wszy-

scy społecznicy dobrej i czynnej woli (prawnicy, pedagodzy, politycy — wykluczamy, rzecz prosta, „politykierów", — literaci itd.). Przy czynnej ich współpracy, jednomyślnej i sharmonizowanej ciężki, o jak ciężki wóz ludzkości szybko ruszyłby naprzód, ku lepszemu jutru...

II.

Przechodzę do pracy w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku. Muszę zaznaczyć, iż siłą rzeczy ogranicza się on tu do profilakt. - leczniczego oddziaływania lekarza na jednostkę. W pojedyńczych jedynie wypadkach zdarza się mu dotrzeć do środowiska i czynników kształtujących warunki bytowania naszych podopiecznych. Przypominam sobie fakt, gdy udając się do chorej naszej do mieszkania — dowiedziałem się, iż właścicielka domu nietylko nie szykanuje jej, jak to zwykle ma miejsce, gdzie zalega się w komornem (którego nie opłacono już tu od roku), lecz wręcz przeciwnie, — traktuje ją życzliwie, otaczając ją poniekąd opieką. Nazajutrz udałem się do właścicielki domu i w swojem z podziałem opieki indywidualnej Sekcji Pomocy złożyłem podziękowanie i pochwaliłem jej iście obywatelskie oraz ludzkie postępowanie. Są to jednak sporadyczne wypadki. Bojowym, ratowniczym, emocjonującym wprost przedstawia się natomiast całokształt pracy działu prawniczego wraz z podziałem opieki indywidualnej Sekcji Pomocy Matce i Dziecku. Jaskiniowy egoizm kamieniczników, nieżyczliwość w wielu wypadkach sędziów, aspołeczne nastawienie wielu pp. adwokatów, apatję, depresję i złe skłonności podopiecznych, ileż to przeszkód musi się zwalczyć, zanim uda się wyrwać tyle istnień ludzkich ze szponów czarnej rozpaczy, beznadziejności i towarzyszących im występków, czynów nieobliczalnych, kroków samobójczych. Ileż tu żeru ludzkiego udało się sekcji prawniczej wydrzeć z paszczy więzień, prostytucji, ileż to rodzin, cegiełek społeczeństwa, udało się wstrzymać opiece indywid. przed procesem ostatecznego rozkładu. Pragnie się nieraz zawołać: Niech błogosławione będą te dłonie ratownicze śpieszące z pomocą twórczą w chwili, gdy — zdawałoby się — już żadne moce ludzkie nie wstanie są pomóc. Niestety, nie wszyscy potrafią doceniać tak wielkiego wysiłku Sekcji Opieki, wysiłku zaoszczędzającego społeczeństwu i Państwu wydatki na więzienia, policję, wysiłku chroniącego społeczeństwo od rozpaczliwych czynów ludzi, którym nie pozostaje już nic do stracenia. A co najważniejsze — nader ciekawe są tu drogi i sposoby przyjścia z pomocą. Zasługują one na najbaczniejszą uwagę i naśladowanie, jako próby odbudowy w sposób najbardziej dla społeczeństwa pożyteczny moralnie i duchowo rozkładającej się jednostki i rodziny. Tu stykają się dążenia i praca społeczno twórcza świata lekarskiego z pracą odbudowy społecznej Sekcji Opieki. Podążają razem one ku drodze rozwoju ewolucyjnego społeczeństwa, drodze uniknięcia krwawych walk bratobójczych, i wstrząsów społecznych. Drodze narazie ciernistej i pełnej wybojów...

Dr. E B.

Gruźlica

Jedną z największych klęsk społecznych jest gruźlica. Walka z nią trwa we wszystkich krajach niemal od czasów archaicznych. W Polsce już w XIV wieku byli wybitni lekarze i uczeni (Jan Radica — 1391 r.), którzy specjalnie zajmowali się badaniem i leczeniem suchot, zwracając już wtedy szczególną uwagę na wpływ leczenia klimatycznego.

Jakkolwiek walka z gruźlicą prowadzona była we wszystkich krajach nieustannie, niestety nie dawała decydujących wyników, gdyż aż do najnowszych czasów nie były znane przyczyny choroby.

Epokowe odkrycie Roberta Kocha 1882 r., chociaż wykazało przyczynę suchot w odkrytym przezeń prątku, nie dało jednak możności wynaleść ani specjalnej szczepionki, ani surowic, ani też leku specjalnego ze względu, jak wykazały badania ostatnich 30 lat (prof. Karwacki, Panek i inni) na wielopostaciowość prątka gruźlicy, który przystosowując się do warunków bytowania, zupełnie zmienia swą postać.

Nie mając możności walczyć z plagą gruźlicy środkami specyficznemi od najdawniejszych czasów, jak już wspomniałam w początku artykułu, ludzkość ogranicza się do leczenia klimatycznego, terapji fizykalnej (werandowanie, naświetlania. intensywne odżywianie) oraz stosowania higjeny zapobiegawczej wogóle, kładąc największy nacisk na zwiększenie odporności i samoobrony organizmu.

Najlepszym wskaźnikiem wyników walki ludzkości z gruźlicą są dane statystyczne, wykazujące zmniejszenie liczby zgonów na gruźlicę; to zmniejszenie w niektórych państwach Europy za ostatnie 10 lat sięga 50%. Co się zaś tyczy Polski, to śmiertelność na gruźlicę wogóle zmniejsza się stale.

Jeżeli wziąć dane śmiertelności na gruźlicę m. Warszawy *), to w 1880 latach waha się ona od 36,6 do 43 na 10 tys. ludności. Następnie liczba śmierci stale się zmniejsza dochodząc w 1912 do 30,2; lata wojny dają zwiększenie śmiertelności. I tak:

1914 — 31,4 na 10 tys. osób.
1915 — 41,1
1916 — 60.0
1917 — 97,4 !
1918 — 78,4
1919 — 59,3
1920 — 34,0
1921 już tylko 25,3 i t. d. aż
1933 — 16,0.

W 1920 r. śmiertelność odrazu się zmniejszyła z 59 na 34 i to zmniejszenie się trwa stale do roku ubiegłego. Pomimo to, jednakże Polska w obecnej chwili, niestety, znajduje się na pierwszem miejscu pod względem ilości zgonów, wśród narodów europejskich.

Ogółem w Polsce umiera rocznie na gruźlicę 63.000 osób, a łóżek w szpitalach i sanatorjach po-

———

*) „Walka z gruźlicą w Polsce" 1934 r. Warszawa.

siadamy tylko 8,680 (dr. K. Dąbrowski); liczba ta przemówi z całą wyrazistością, jeżeli zważymy, że w krajach, gdzie walka społeczeństwa z tą plagą osiągnęła wyższe napięcie, liczba łóżek jest 2 razy większa, niż ilość zgonów. (Włochy, Ameryka Północna, Danja i inne).

Pomimo szpitali i specjalnych sanatorjów dla gruźlików wielką rolę odgrywają przychodnie przeciwgruźlicze i ośrodki zdrowia; zadaniem tych ostatnich jest działalność zdrowotno - zapobiegawcza, a w tem zakładanie prewentorjów, szkół na otwartem powietrzu, kolonij leczniczych oraz kolonij i półkolonij letnich.

Liczba przychodni przeciwgruźliczych w Polse od roku 1920 wzrosła znacznie z 30 na 341. Również zwiększyła się ogólna liczba ośrodków zdrowia, a w nich między innemi też ilość przychodni przeciwgruźliczych.

Lata	Ośrodki zdrowia	Przych. przeciw.
1929	151	146
1930	180	171
1931	205	193
1932	231	216
1933	224	-

Ze zwiększeniem się ilości przychodni przeciwgruźliczych znacznie zwiększyła się praca: ilość porad dochodzi do 443.132, ilość osób znajdujących się pod opieką do 287,890, ilość gruźlików pod opieką przychodni 116,563 i t. d.

Od 1926 r. wprowadzone są uodpornienia osesków zapomocą szczepionki B. C. G. (metoda Calmett'a). Gdyby okazało się, że te szczepienia są rzeczywiście niezawodne, walka z gruźlicą przyjęłaby zupełnie inny obrót.

Ponieważ gruźlica jest chorobą wymagającą kilkoletniego nieraz leczenia, a w większości wypadków nie ma możności odosobnienia chorego członka rodziny, przeto dzieci, których organizm jest najmniej odporny, są stale narażone na zarażenie się gruźlicą. Wobec tego skierowano głównie wysiłki na wzmocnienie dzieci, a co za tem idzie i ich odporności, wysyłając je, zależnie od stanu zdrowia, na kolonje lecznicze (Busk, Ciechocinek, Rabka, Druskieniki, Rymanów), kolonje i półkolonje letnie. Liczba dzieci wysłanych na kolonje lecznicze w roku 1922 wyniosła 6.255, a w 1932 wzrosła do 10.852, co się zaś tyczy kolonij i półkolonij letnich, to w roku 1922 korzystało z nich 39.300 a w 1932 r. 138.000. Oprócz tego w 1933 roku zorganizowano pierwsze kolonje i półkolonje zimowe dla 21.400 dzieci. Wyniki z pobytu dzieci na kolonji i półkolonji są naogół dobre, nieraz nawet bardzo dobre; wzrost i waga zwiększają się, powiększone gruczoły redukują nieraz do stanu normalnego i pomimo to, że dzieci po powrocie do ciężkich i niehigienicznych nieraz warunków rodzinnych tracą prędko część zdobytego przyrostu wagi, ogólne wzmocnienie i poprawa są trwałe.

Wnioski te są wynikiem obserwacji nad dziećmi, wysyłanemi co roku na kolonje letnie z ramienia Sekcji Pomocy Matce i Dziecku, Obywatelskiego Komitetu.

Zorganizowanie międzynarodowego związku przeciwgruźliczego jest dowodem powszechnego uświadomienia, jak wielką klęską społeczną jest gruźlica i jak ważnem jest zrzeszenie sił naukowych całego świata do walki z tą plagą. IX zjazd międzynarodowy przeciwgruźliczy, który zgromadził najpoważniejsze siły naukowe i działaczy na tem polu w liczbie około 800 osób ze wszystkich państw, obradował 4 — 6 września r. b. Zjazd wykazał wielką produkcyjność prac międzynarodowego związku; wygłoszono szereg referatów, poświęconych zagadnieniom teoretycznym, klinicznym i społecznym.

Pierwszy programowy referat wygłosił doc. dr. Leon Karwacki na temat „Zmienność biologiczna zarazku gruźlicy". W ciągu 30 lat swej pracy naukowej dr. Karwacki wykazał, że laseczniki Kocha, zależnie od warunków bytowania, zmieniają swą postać zewnętrzną (wielopostaciowość) i własności chorobotwórcze. Zmianom tym odpowiadają też różne etapy w zakażeniu gruźliczem.

Następny programowy referat był na temat kliniczny „Postacie gruźlicy kostno - stawowej i ich leczenie", wygłoszony przez prof. Putti, który uznaje, że gruźlica kostno - stawowa jest wtórnym przejawem gruźlicy wewnętrznej. Prof. Putti porusza najnowsze metody leczenia ogólnego i miejscowego i demonstruje cały szereg dodatnich wyników leczenia gruźlicy kości (fotografje i zdjęcia kinowe).

Prof. Rollier uznając, że strona psychiczna odgrywa wielką rolę w rozwoju choroby i przebiegu kuracji, w 1930 r. otworzył w Szwajcarji sanatorjum, w którem dąży do podniesienia energji życiowej chorych, zainteresowując ich odpowiednią pracą fizyczną, dającą nietylko zadowolenie ale i dochód. (la „Cure de Travail").

Doc. dr. Wojciechowski zaznajomiwszy zjazd ze stanem lecznictwa gruźlicy kostnej w Polsce, podaje projekt stworzenia w kraju organizacji, któraby roztaczałaby stałą opiekę nad choremi, nauczając ich i odpowiednio skierowując do szpitali, sanatorjów lub na kolonje.

W dalszym ciągu obrad w referacie prof. Bernarda wypowiedziany był pogląd, że zmiany, które nastąpiły od 2-ch lat w leczeniu gruźlicy płuc (odma), muszą wywołać tem samem zmiany charakteru przychodni przeciwgruźliczej, dotąd instytucji zapobiegawczej tylko; obecnie zaś poradnia przeciwgruźlicza może, a nawet powinna stać się zarazem i instytucją leczniczą.

Znaczenie poradni przeciwgruźliczej zdaniem dr. Wroczyńskiego wzrasta, jako instytucji rozpoznawczej i umożliwiającej obserwacje zarówno danego chorego, jak i jego rodziny i warunków w jakich się znajdują, przez co poradnia staje się właściwą instytucją opiekuńczą. Dalej dr. Wroczyński uważa, że walka z gruźlicą polega w pierwszym rzędzie na leczeniu, a dopiero potem na zapobieganiu, a stosować je należy jednocześnie. Wobec tego przychodnie muszą zmienić swój charakter dotychczasowy, obejmując szerszy zakres działania.

Dr. Marja Skokowska-Rudolf i dr. M. Grodecki w swych referatach wykazali ogrom pracy wykonanej w Polsce w walce z gruźlicą.

W walce z gruźlicą owocną pracę zapobiegawczo - leczniczą rozwinęły przychodnie Obywatelskiego Komitetu Sekcji Pomocy Matce i Dziecku, badając i lecząc matki i dzieci w rodzinach bezrobotnych, a ojców skierowując na leczenie do specjalnych przychodni. Chore dzieci są leczone w

Sekcji, lub też w miarę potrzeby skierowywane do specjalistów (przych. przeciwgruźlicza, laryngolog, okulista), szpitali lub domu dla rekonwalescentów. Osoby leczone w przychodni Sekcji Pomocy Matce i Dziecku, zarówno jak i u specjalistów otrzymują lekarstwa w sekcji bezpłatnie. Sekcja roztacza opiekę nad rodzinami, wnikając w ich sprawy mieszkaniowe, starając się podnieść warunki higjeniczne, niosąc pomoc indywidualną (remonty, dezynfekcje, sienniki itp.). Dożywianie dzieci jest jednem z najważniejszych zadań działu zdrowia sekcji, więc wszystkie dzieci do 2-ch lat, a starsze zgodnie z opinją lekarza, otrzymują mleko, ponadto dzieci słabsze i ze środowiska gruźliczego otrzymują indywidualne paczki żywnościowe, tran i odżywcze preparaty. Pozatem sekcja wysyła dzieci na kolonje lecznicze, kolonje i półkolonje letnie, lub też wysyłając całe rodziny na wieś zaopatruje je w paczki żywnościowe. W celu chociażby częściowego wyizolowania dzieci w roku szkolnym ze środowiska domowego sekcja posiada świetlice, gdzie dzieci spędzają czas pozaszkolny i gdzie są dożywiane.

dr. m. J. Dzwonkowska.

Akcja letnia

Higjenista, patrząc około wiosny — na mizerne wynędzniałe ciałka dziatwy bezrobotnych widzi, że bez przesady — resztkami sił usiłuje ona sprostać trudom i troskom, wkładanym na jej wątłe ramiona przez życie i... szkołę.

Z oczu, z których powinna promieniować radość i ufność do życia, wyziera smutek, ból, a czasem nawet tragizm, ostateczne wycieńczenie. Jest rzeczą społecznie absolutnie niezbędną — radzenie temu złu, tej krzywdzie niezasłużonej „maluczkich". Powinniśmy siły nadludzkie wytężyć do walki z degeneracją i śmiercią.

Z wiosną, kalendarzową — zupełnie niezależnie od warunków atmosferycznych, katastrofalnie zmniejsza się pomoc społeczna w postaci różnego rodzaju form dożywiania, jak obiady, czy rozdawnictwa kartofli. Z końcem zaś roku szkolnego ustaje nadto i wcale poważna pomoc udzielana przez szkołę dla dzieci szkolnych i przedszkolnych w formie obiadów im wydawanych. Dzieci zostają pozbawione częstokroć jedynego w ciągu dnia gorącego posiłku! Nie jest to frazes, ani przesada. Wie o tem każdy opiekun społeczny i każdy wychowawca szkolny. Większość dzieci bezrobotnych przychodzi do szkoły lub przedszkola — bez śniadania, a nawet bez chociażby kubka gorącego płynu, rozgrzewającego to ciałko zmęczone przez niewygodne spanie we wspólnem „łożu", najczęściej z kilkorgiem rodzeństwa, pogryzione przez insekta. Słabnie w ten sposób i tak nikła odporność przed „zaziębieniem się", jak mówią matki, przed gruźlicą, jak mówi Dział Zdrowia Sekcji Pomocy Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu. Narazie Sekcja ta jest jedyną bodaj instytucją na obszarze Polski, która dąży do ogarnięcia całokształtu potrzeb krzyżowej drogi bezrobotnego, obarczonego rodziną. Przeżywa ona wraz z nim potworną trwogę utraty mieszkania — „dachu nad głową"; dotkliwy brak obuwia i najniezbędniejszego ubrania, które chroniłoby jego dzieci przed chłodem i słotą; walczy z trudnościami w zdobywaniu potrzebnych do kształcenia pomocy naukowych, jak i opłat szkolnych.

Sekcja troszczy się również, w miarę możliwości (od niej niezależnych), by głód nie był tak dotkliwy, udzielając świadczeń żywnościowych w różnej postaci.

To też walną jej troską jest, by dobrodziejstwa naturalne były należycie wykorzystane dla celów profilaktycznych. Nagromadzenie zapasu energji słonecznej stanowi fundament do walki z gruźlicą, tym wrogiem, któremu sekundują: głód, chłód, alkoholizm, zabójcze warunki mieszkaniowe przedewszystkiem i najczęściej ciemnota i osłabiony „tonus" życia. Sam instynkt życia zmusza ludzi na wiosnę do wyjścia poza mury miasta. Najbardziej upragnioną dla wszystkich porą roku jest lato i związane z niem bliższe obcowanie z przyrodą. Dla naszych zaś podopiecznych czas ten staje się często udręką, gdyż nie mają możności dać dzieciom nie tylko słońca, ale i strawy potrzebnej.

Na wiosnę OKPS przez swoją Sekcję P. M. i D. mobilizuje wszystkie siły na organizację wywczasów, by największej ilości „podopiecznych" umożliwić obcowanie z przyrodą. Tą drogą dąży się między innemi i do przywrócenia dzieciom utraconych gorących posiłków. Powstają akcje: wyjazdów na wieś matek z młodszemi dziećmi, półkolonij i kolonij letnich. Nie mając własnych funduszów na ten cel, Komitet wchodzi w porozumienie z instytucjami, prowadzącemi akcje kolonij i półkolonij, jak: T-wo Kolonij Letnich im. Markiewicza i Wawelberga, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet oraz Rada Szkolna miasta Warszawy, gdzie Sekcja nasza uzyskuje miejsca bezpłatne lub zdobywa subwencje na częściowe chociażby opłacanie utrzymania za zmizerowane dzieci.

Akcja wyjazdów na wieś powstała spontanicznie — z wymagań życia, dopiero 2 lata temu. Nie mamy jeszcze dostatecznych danych cyfrowych, by omówić wszystkie jej walory. Akcja ta polega na dopomaganiu rodzinie w jej dążeniu do opuszczenia chociażby na lato ciemnych, wilgotnych suteryn, wyjechać do krewnych na wieś. Daje się jej dla każdego dziecka paczkę z suchą żywnością i opłaca przejazd koleją w jedną stronę.

Akcję półkolonji letnich prowadzą dwie instytucje, które nam udzielają pewnej ilości miejsc: Rada szkolna m. Warszawy i Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Bliższych danych statystycznych nie udało się zdobyć z powodów od nas niezależnych. Dzieci korzystało: blisko 1000 z ośrodka Ochota i Wola w Związku Obyw. Kobiet: z ośrodka Praskiego — 577 dzieci przebywało wciągu 5 tyg. na półkolonji Rady Szkolnej m. Warszawy w Gocławku. Dzieci naogół według danych kartoteki zdrowia zyskały na wadze, pobyt wspominają z zachwytem, rodzice są również zadowoleni.

Przyglądając się od paru lat akcji półkolonij letnich z radością mogę stwierdzić duży postęp w zrozumieniu całokształtu potrzeb. Przypominam sobie zwiedzaną przed paru laty półkolonję na jednem z przedmieść. Rozległy piaszczysty plac (nie-

równy teren), dziatwa grzęźnie po kostki w piasku, ani jednego drzewka, tylko prowizoryczny dach nad miejscem dożywiania. Dzieci, ustawione parami, chodzą pod palącymi promieniami słońca, śpiewając piosenki, w oczekiwaniu na posiłek. Jest to bodaj jedyny cel przebywania tu dzieci w różnym wieku (od lat 3 do 16)!

Organizowali to ludzie dobrej woli, z szlachetnych pobudek, lecz, niestety, zupełnie do tego niepowołani. Toteż uczestnicy męczyli się, (zwłaszcza w upalne, lub wietrzne dnie), a matki, pomimo, że często nie miały co jeść, rezygnowały ze smacznej zupy, (którą zresztą bardzo chwaliły). Niektóre dzieci tylko karą udawało się zmusić do pójścia na „półkolonję", wolały zniknąć na cały dzień z domu i żywić się własnym przemysłem.

Nierzadkie zjawisko przed paru laty jeszcze stanowiły „półkolonje — dziedzińce" na różnych ulicach przedmieść stolicy, urządzane *na pustych placach po składach drzewa i węgla!*

Tak było. Dziś pod fachowem kierownictwem instytucyj, o których mowa, sprawa się radykalnie zmieniła, półkolonje dają przedewszystkiem świeże powietrze, odżywienie i racjonalny dnia podział.

Dłużej chciałabym zatrzymać się na *Akcji kolonji letnich*, którą Dział Zdrowia uważa jednak na razie za najbardziej celową, ze stanowiska zarówno zdrowotnego jak i wychowawczego.

Akcję tę rozpoczęła Sekcja przed kilku laty, zrazu w b. skromnych rozmiarach, skierowując po kilkanaścioro dzieci na kolonje i obozy. Dopiero od 2 lat zaczyna się rozwijać szerzej, pomimo kurczenia się środków na ten cel w ogólnych rozmiarach.

W roku ubiegłym wysłano na kolonje do 300 dzieci przez T-wo im. Wawelberga do Leszna i Ciechocinka. Kolonja lecznicza w Ciechocinku dała szczególnie dobre wyniki. Dzieci trzymały się we względnie dobrej formie przez całą zimę, pomimo niedostatecznego odżywiania i braku odzieży.

Tego lata uzyskano przydział na kolonje letnie do Rady Szkolnej m. Warszawy przez Komisarjat Rządu. Skierowano 374 dzieci (180 chł. i 194 dziewcz.) na kolonje do Łomży i Małkini.

Poza tem, tak w zeszłym roku jak i w bieżącym, wysłano najwątlejsze dzieci szkolne, na interwencję opiek szkolnych — za pewną (10—20 zł. od dziecka) dopłatą w ogólnej liczbie kilkudziesięciu osób.

Oto kilka statystycznych danych, charakteryzujących stan zdrowotny dzieci oraz wyniki pobytu ich na kolonjach w roku bieżącym.

Skierowano na kolonje letnie w roku 1934

Ośrodki	Skierowano	Wyjechało	Nie wyjechało
Ochota	123	120	3
Wola	140	129	11
Praga	133	125	8
Razem	396	374	22

PRZYCZYNY NIEWYJAZDU

1. Niechęć rodziców do robienia szczepionki ochronnej przeciwtyfusowej . . . . [illegible]
2. Choroba rodziców
3. Zachorowanie na tyfus brzuszny po zastosowaniu [illegible]pionki ochronnej . . . . [illegible]
4. Zachorowanie na inne choroby 4
5. Brak niezbędnego ubrania dla dzieci w/g żądania Rady Szkolnej.
6. Wyjazd na wieś odrazu po skończeniu roku szkolnego.

W liczbie tych dzieci co nie skorzystały z kolonji jest 7 takich, które były zwrócone z kolonji z powodu nerwowości lub tęsknoty za domem (z Łomży — 2, z Małkini — 5).

Wiek dzieci.

	Łomża			Małkinia			Razem	%	Uwaga
	Ochota	Wola	Praga	Ochota	Wola	Praga			
6 l.	2	—	6	1	3	—	12	3.2%	
7 l.	8	—	15	2	16	1	42	11.3%	
8 l.	12	—	20	2	22	4	60	16.0%	
9 l.	13	—	1e	3	30	5	62	16.[illegible]	
10 l.	11	—	13	7	16	2	49	13.1%	
11 l.	14	—	20	6	16	4	60	16.0%	
12 l.	—	—	—	11	8	11	30	8.0%	
13 l.	—	—	1	12	10	9	33	8.8%	
14 l.	—	—	—	8	8	2	18	4.8%	
15 l.	—	—	—	2*	—	1	3	0.8%	* 1 ze szkł. zaw. żeńsk.
16 l.	—	—	—	3*	—	—	3	0.8%	* 3 „ „ „
17 l.	—	—	—	1	—	—	1	0.3%	
18 l.	—	—	—	1*	—	—	1	0.3%	* 1 „ „ „
Razem	60 os.	—	66 os.	30 os.	129 os.	39 os.	374 os.	w tem	5 ze szkł. zaw. żeńsk.

UWAGA. Szkoła Zawodowa dla dziewcząt zwróciła się z prośbą o skierowanie 5 dziewcząt stan zdrowia których wymagał forsownego odżywiania i odpoczynku, bliższych danych o stanie zdrowia Sekcja nie posiada.

Celem działu Zdrowia było skierowanie na kolonje dzieci w wieku lat 7 (zakwalifikowanych do szkoły), by wzmocnić organizm przed wzmożonym wysiłkiem pracy w szkole. Niestety czasami spotykaliśmy się z oporem rodziców, a niekiedy i dzieci. W tabl. I — 7, kilkoro dzieci najmłodszych odesłano z kolonji, gdyż nie mogły przystosować się do życia gromadnego, bez opieki matczynej.

Ogólny stan zdrowia dzieci, w/g. rubryk karty kolonijnej, przed i po kolonji, trwającej od 20.VII — 17.VIII 1934 r.

Stan zdrowia:	Ochota		Wola		Praga		Razem	%	Uwagi
	Łomża	Małkini	Łomża	Małkini	Łomża	Małkini			
Odżywienie.*)									
„ dobre	—	3	—	1	—	—	4	1,0%	
„ średnie	21	29	—	54	11	18	113	35,6%	
„ [illegible] (brak wagi)	39	28	—	74	75	21	237	63,4%	
An[illegible]	23	35	—	46	45	21	170	45,4%	
Powiększ. gruczołów	31	52	—	100	70	34	283	73,7%	
Gruźlica i powiększ gruczoł. wnek.	7	15	—	32	26	13	93	24,9%	
[illegible] (ślady)	9	8	—	27	28	9	81	21,7%	
Choroby serca	4	3	—	13	12	10	42	11,2%	
„ [illegible] i nerek	5	1	—	4	22	15	47	12,6%	
Astma bronch.	—	—	—	1	—	—	1	0,3%	
Reumatyzm	1	—	—	—	—	—	1	0,3%	
Pląsawica i epi[illegible]	1	—	—	1	—	—	2	0,6%	
Ropotok z uszu	—	1	—	5	2	2	10	2,7%	
Stan ogólny po kolon.)**									
„ dobry	4	3	—	—	2	—	9	2,4%	
„ [illegible]	32	38	—	67	24	29	190	50,8%	
„ zły	24	19	—	62	60	10	175	46,8%	

Razem korzystało z kolonij 374 dzieci, w tem 5 osób z Ośrodka Ochockiego, o których niema bliższych danych.

UWAGA: *) Pod odżywianiem rozumiano podściłną tłuszczową oraz niedobór wagi.

**) Stan ogólny brano w/g. orzeczenia lekarza kolonijnego przy końcu pobytu.

Obarczenie dziedziczne

	Ochota	Wola	Praga
Alkoholizm	1.	12.	53.
Gruźlica	67.	81.	79.
Choroby weneryczne	—	3.	3.
	68.	96.	135.

UWAGA. Obarczenie dziedziczne wynotowywano z kart indywidualnych lekarskich dzieci. Najdokładniej rubrykę tę prowadzono na ośrodku praskim, gdyż lekarz przywiązuje do tych danych duże znaczenie dla właściwej profilaktycznej opieki nad dzieckiem.

Uwaga. Zestawienie to najwymowniej potwierdza uwagi wypowiedziane na początku artykułu.

Dział Zdrowia stoi przed ciężkiem zadaniem przy kwalifikowaniu dzieci na kolonje. Mając pod opieką do 3000 dzieci, w tem mniej więcej 1800 w wieku szkolnym, w/g. zeszłorocznej statystyki lekarskiej ma w tem do 10% czynnej gruźlicy płuc lub gruczołów, t. j. 180 dzieci. A gdzie wyniszczenie organizmu (brak wagi w stosunku do wieku i wzrostu dochodzi czasem do 10 klg. 13 l. chłopiec ma wagę 9 letniego, przy wzroście 12 letniego (w/g. tablicy Pirgnette'a). 8 letni chłopiec waży nie całe 17 klg!!!). Sprawy gruczołowe, chorzy na serce, narządy trawienia.

Kwalifikowanie to utrudnia jeszcze brak kolonij leczniczych. Jedynie Ciechocinek, z dostępnych dla Sekcji kolonij leczniczych, jest przystosowany dla dzieci chorych, lecz i tam nie przyjmują chorych na serce. Poza tem do Ciechocinka możemy wysyłać za opłatą 60—70 zł. od dziecka, na co w tym roku Sekcja nie uzyskała subwencji, więc musiała ograniczyć się do kolonji wypoczynkowych Rady szkolnej w Lesznie i Małkini.

Przyrost i ubytek wagi.

Przyrost wagi w klg.	Ochota Łomża	Ochota Małkinia	Wola Łomża	Wola Małkinia	Praga Łomża	Praga Małkinia	Razem	[illegible]	Uwagi
0 klg	—	3	—	6	—	1	10	2,7%	
od 0 > 1 „	1	17	—	44	3	9	74	19,8%	
„ 1 > 2 „	23	19	—	46	38	18	144	38,5%	
„ 2 > 3 „	27	15	—	16	35	4	97	[illegible]	
„ 3 > 4 „	7	3	—	4	8	2	24	6,4%	
„ 4 > 5 „	—	—	—	—	2	—	2	0,6%	
Razem	58	57	—	116	86	34	351	93,9%	
Bez wagi	2	1	—	4	—	—	7	1,8%	zwroty z kolonji z różn. powodów
Ubyło na wadze:									
100 gr.	—	—	—	2	—	1	3	0,8%	
200 „	—	—	—	2	—	—	2	0,6%	
300 „	—	—	—	3	—	—	6	1,4%	
400 „	—	—	—	2	—	—	2	0,6%	
500 „	—	—	—	—	—	1	1	0,3%	
1 klg.	—	2	—	—	—	—	2	0,9%	
Razem	2	3	—	9 os	—	5	16	4,3%	

Z powyższej tablicy widzimy, że pobyt na kolonji w Lesznie dał wyniki lepsze, gdyż przyrost wagi jest większy. Ubytek wagi u 16 dzieci wykazały dane z kart lekarskich z kolonji w Małkini.

Na zakończenie chcę wymienić kilka uwag, które nasunęły się Działowi Zdrowia przy przeprowadzaniu akcji letniej, głównie kolonijnej.

Przygotowania do akcji letniej powinny zaczynać się od miesiąca kwietnia co najmniej.

Konieczność wczesnego terminu rozpoczęcia tej akcji wynika z nast. przyczyn, (które częściowo wymieniłam przy motywacji powodów niewyjazdu dzieci):

1) uświadomienie rodziców o dobrych stronach kolonji i półkolonji dla dzieci.

2) przeprowadzenie zawczasu szczepień ochronnych przeciwtyfusowych przy ośrodkach Sekcji (gdyż niektóre dzieci ciężko odchorowują szczepienia);

3) ułożenie zawczasu listy kolonijnej, by rodzice mieli czas do wyekwipowania dziecka.

Wszystko wyżej wymienione nie jest możliwe do przeprowadzenia, dopóki dział zdrowia nie ma ścisłych danych — ile i gdzie może skierować dzieci i na jakich warunkach. Warunkowe zapisywanie dzieci, jak już wykazała praktyka, jest wręcz demoralizujące, gdyż pogłębia rozgoryczenie u rodziców i tak już zmęczonych często napróżnem wyczekiwaniem na „dobrodziejstwa" ze strony instytucji społecznych. *Olga Doniecka*

Dobrze jest czy źle, ale tak jest, że mamy cenzurę. Z tego wynika nie tylko pewne skrępowanie prasy, ale i fakt, że odpowiedzialność przynajmniej negatywna za to, co pisze prasa, spada na organy cenzury w tym sensie, że to czego pisać nie wolno — nie powinno się ukazywać w druku.

Otóż „Słowo Częstochowskie" pozwoliło sobie na wydrukowanie następującego ustępu:

„Trzeba... rozpocząć waleniem pięścią w mordę ruską, tak, żeby krwią cała hajdamaczyzna spłynęła... Trzeba powyrzucać z urzędów, stanowisk i posad wszystkich urzędników, nauczycieli i robotników narodowości ruskiej, czy pseudo-ukraińskiej. Trzeba dla bezrobotnych ruskich, czy rosyjskich... stworzyć osobne obozy izolacyjne, ale takie, z których już żaden nie wyjdzieby więcej nie wyszedł. Trzeba pousuwać z wyższych i średnich zakładów naukowych wszystkich hajdamackich uczniów i studentów... Pozamykać ruskie gimnazja i szkoły powszechne... Do każdej gminy (w Ziemi Czerwieńskiej p. n.) na przeciąg 5 lat zakwaterować bataljon wojska polskiego na koszt i utrzymanie gminy".

Podpisany jest pod artykułem Z. W. Redaktorem organu jest profesor Zdzisław Wróbel.

Otóż artykuł ten koliduje zupełnie wyraźnie z kodeksem karnym. Mamy tu namawianie do bicia w mordę, mordowanie w obozach izolacyjnych i łamanie konstytucji. Jest i bezwzględna obraza narodowości ukraińskiej. Wszystkie karalne.

Za ukazanie się tego rodzaju enuncjacji należy się narodowi ukraińskiemu satysfakcja w postaci: 1) dochodzenia dyscyplinarnego przeciwko urzędnikowi, który tego rodzaju rzeczy nie skonfiskował, 2) wytoczenia sprawy z oskarżenia publicznego przeciwko autorowi i redaktorowi, 3) zbadania, czy odpowiedzialny za tę elukubrację nie jest na posadzie rządowej, czy nie zajmuje się pracą pedagogiczną i ewentualne usunięcie go z tego stanowiska. To są rzeczy zbyt poważne, by je można było puszczać płazem zwłaszcza dziś, gdy wypowiadamy traktat o ochronie mniejszości, w słusznem przeświadczeniu, ze naszą konstytucja jest wystarczającą dla nich rękojmią.

Zdarzenia i uwagi

OCHRONA MNIEJSZOŚCI.

Wniosek polski o rozciągnięcie ochrony mniejszości narodowych na wszystkie państwa, tak, jakby upadł. Cały szereg przedstawicieli rządów wypowiedział się przeciwko niemu. Niektórzy powoływali się na „trudności"; byli i tacy, co powiedzieli zupełnie cynicznie — jeżeli ochrona mniejszości nie wiele dała w tych państwach, które były do niej dotąd zobowiązane — to nie jest rzeczą pożądaną rozciągać ją na inne. Oświadczenie polskie spotkało się z zastrzeżeniami tylko w stosunku do formy, do rezygnacji z brania udziału w dotychczasowej procedurze, do tego, co stanowiło wedle mówców jednostronne wypowiedzenie traktatu o mniejszościach. Gdyby nie to, wszyscy najchętniejby się właściwie pozbyli tej sprawy i wyrzucili ją, bo dla wszystkich jest ona conajmniej kłopotliwa. O rozwinięciu ochrony mniejszości nikt nie myśli poważnie. Nawet i te państwa, które wraz z nami są upośledzone z tego tytułu, kto wie, czy nie sądzą, że lepiej znosić nierówność, niż dopuścić do rozpowszechnienia ustawodawstwa mniejszościowego i stworzenia stałych poręczeń międzynarodowych dla każdej mniejszości. Dziś tak łatwo się wykręcać od wszelkiego rodzaju zarzutów pred Radą Ligi, jak katolikowi uzyskać rozwód, ale kiedy powstanie międzynarodowy trybunał sprawiedliwości narodów — sprawa się będzie przedstawiała nieco gorzej. Więc przecie lepsze jest upokorzenie niż istotne ograniczenie praw. Tak sobie rozważają różni panowie Benesze czy Titulescu.

Bo nie ulega wątpliwości, że wniosek ministra Becka zdążał do utworzenia instytucji, któraby naprawdę stworzyła podstawy do poszanowania praw każdej narodowości i to nie tylko takiej, która istnieje i jest uznana, ale i tych wszystkich, kóre powstają, które się tworzą, które dochodzą do samowiedzy dopiero.

Sprawa postawiona przez Polskę przecież musi powrócić. Tego się nie przeskoczy. Tylko chodzi o to, żeby w należyty sposób oceniły ją same mniejszości narodowe. Powinny one zrozumieć, że kodeks dla nich może być opracowany dopiero wtedy, gdy wszystkie państwa będą musiały go respektować. Jako prawo wyjątkowe dla niektórych państw ochrona mniejszości przeprowadzić się nie da i długo nie potrwa. Jeżeli opinja publiczna świata nie będzie domagała się upowszechnienia ochrony — to zginie ona — zginie, czy z trzaskaniem w stół pięścią, czy bez niego.

KONGRES WYCHOWANIA MORALNEGO.

Kongres tego rodzaju, w którym obok szczerego katolika siedział hitlerowiec lub socjalista, mógł się odbywać pod jednym warunkiem, a to mianowicie, że wszyscy będą milczeć na temat moralności życia publicznego i zachowają w tej dziedzinie wszystkie mniemania jak najgłębiej, że zgodzą się, inaczej mówiąc, że fałszować pieniędzy wprawdzie nie można, ale nie wolno potępiać fałszowania spisów wyborczych, albo statystyki ludności, jeżeli tego „racja stanu" wymaga. No a wykreślenie moralności z życia publicznego jest szalbierstwem, albo głupotą.

I w całej pracy kongresu był ten fałsz. Ludzie, którzy mówili o potrzebie szczerości, sami w najbardziej oportunistyczny sposób przemilczeli najaktualniejsze zagadnienia doby obecnej, aby siedzieć razem.

Tylko właśnie to ich siedzenie razem najzupełniej nie było potrzebne—nikomu. Owszem, było szkodliwe, bo manifestowało tolerowanie najhaniebniejszej niemoralności, w imię czego? Pustoty i snobizmu! Kongres sam w sobie był rzeczą niemoralną i czas, aby to nareszcie zrozumiano powszechnie i piętnowano publicznie.

Cenimy wysoce międzynarodową współpracę. Znając nagół beztreściowość kongresów, uznajemy ich pożytek, jako rendez - vous dla ludzi o pewnych zainteresowaniach, o wysokich instynktach społecznych obok chociażby nie wiele wyżej niż przeciętnych walorów naukowych. Gotowi jesteśmy nawet przyznać, że dla tak zwanej propagandy zagranicznej mają one znaczenie większe, niż mecz piłki nożnej, albo rekord na pięćdziesiąt metrów w biegu ośmiolatków. Ale pod warunkiem, że w samem założeniu kongresu nie będzie istotnie zgniłego kompromisu. A w tym wypadku był kompromis zły. Wolelibyśmy, by się takie imprezy nie powtarzały. Niech się właśnie o moralnem wychowaniu gada w gronie najszczuplejszem — ale głośno, otwarcie i szczerze — przedewszystkiem szczerze.

SYTUACJA DROBNYCH ROLNIKÓW.

Czołowy przedstawiciel spółdzielczości rolniczej, b. minister Zygmunt Chmielewski umieszcza w „Czasopiśmie Spółdzielni Rolniczych" następujące uwagi na ten temat, które wartoby było uprzytomnić sobie i dobrze spamiętać:

Nietylko Rząd ale i całe społeczeństwo winno uświadomić sobie, że drobny rolnik zeszedł na dno nędzy.

Wynika to przedewszystkiem z rozpiętości cen artykułów przemysłowych i produktów rolniczych. Jak pod tym względem położenie pogorszyło się w porównaniu z rokiem 1914, widocznem to jest z poniższej tabelki opracowanej w sposób przystępny na podstawie danych Małego Rocznika Statystycznego r. 1934 str. 126.

Rolnik płaci za	W kilogramach żyta luty		W kilogr wieprza żywej wagi luty	
	1914	1934	1914	1934
Pług 1 sztuka	134	275	23.0	45.6
Garnek emal. 10 szt.	61	178	10.5	29.7
Superfosfat 10 gg.	35	51	6.1	8.5
Sól 10 kg.	6	27	1.0	4.6
Mydło 10 kg.	51	199	8.[illegible]	18.2
Węgiel 100 kg.	23	49	3.9	8.2
Nafta 10 kg.	16	42	2.[illegible]	7.0

Ludność miejska ponosi koszta żywności najwyżej w tej samej cenie co w r. 1914 (tylko w Warszawie a poza Warszawą niższe np. w Katowicach 99%, we Lwowie 93%, w Łodzi 89%, w Równem 78 poc. Zarobki godzinne robotników zatrudnionych w górnictwie, hutnictwie oraz w wielkim i średnim przemyśle przetwórczym w Polsce (Mały Rocznik Statystyczny r. 1934 str. 136) zmniejszyły się w porównaniu z r. 1928 tylko o 13%.

Niewątpliwie niedola mieszkańca miasta, a szczególniej robotnika (jeszcze raz podkreślić należy, że bezrobocie na wsi jest liczniejsze niż w mieście), jest wielka, ale nie doszło tam do nędzy tak rozpowszechnionej, jaka grasuje na wsi.

Wiele przeprowadza się u nas badań i to bardzo ciekawych. Pragnąłbym tutaj zachęcić czynniki naukowe do zbadania zagadnienia, którego wyjaśnienie rzuciłoby wiele światła na sprawę: komu w Polsce trzeba w pierwszej linji przyjść z pomocą? Jest to pytanie: ile kosztuje całodzienny koszt wyżywienia 1 członka rodzin najbiedniej-

szego rolnika (do 2 hektarów)? Takie badanie przeprowadziłem w nader skromnym zasięgu, posiłkując się pomocą mych uczniów, rozsianych prawie na całym terenie Rzeczypospolitej, i otrzymałem wynik — 20 groszy dziennie przy policzeniu wartości własnych produktów, ale przy zjawisku niespożywania chleba w licznych wypadkach w ciągu 3 — 4 miesięcy i częstego obywania się bez nafty, nawet soli, a oczywiście bez mydła.

Całe społeczeństwo musi wreszcie dojrzeć dno nędzy drobnego rolnika i musi uznać, że jemu przed innymi trzeba przyjść z pomocą.

ZADŁUŻENIE ROLNICTWA.

P. Wierusz - Kowalski ogłosił w „Kurjerze Porannym" niezmiernie charakterystyczne cyfry, dotyczące sprawy zadłużenia rolnictwa. Wynosi ono pokaźną sumę 4.800 miljonów złotych. Z tego dla kwoty przeszło 2.300 miljonów wierzycielem jest samo Państwo wraz z samorządem bądź bezpośrednio (zaległości podatkowe), bądź też pośrednio przez Banki i instytucje finansowe. Kapitał prywatny, łącznie ze spółdzielniami (200 miljonów) dostarczył więc niespełna połowę kredytu na wieś. Co ciekawsze, że z tego ledwie coś powyżej 700 miljonów przypada na kredyt udzielony przez kapitał zorganizowany w większe, bankowe instytucje. Reszta — to masa wierzycieli prywatnych, masa rozproszona.

Stosunek to niezmiernie charakterystyczny i dużo mówiący o strukturze gospodarczej Rzeczypospolitej. Kredyt państwowy, trzeba zaznaczyć, powiększa się stale, co więcej płynie niejednokrotnie poprzez instytucje prywatne — tak że stoimy wobec stopniowej etatyzacji kredytu w Polsce wogóle. Właśnie to zagadnienie musi być rozważone bardzo dokładnie, jeżeli mówimy o akcji oddłużeniowej. Ta sprawa musi być też bardzo poważnie wzięta pod uwagę, kiedy chodzi o „odmrożenia" pieniędzy pożyczonych rolnictwu.

P. minister Poniatowski oświadcza, że narazie nie podejmie żadnych ryzykownych posunięć — zwraca jednak bardzo pilną uwagę na rozkład kredytów, aby z sytuacji należycie ocenionej w swoim czasie wyciągnąć wnioski.

STRAJK JEDWABNIKÓW.

Długi, przewlekły strajk jedwabników w Łodzi został ostatecznie zażegnany w drodze interwencji głównego Inspektora pracy. Argumenty, jakie zostały przez niego użyte wobec pracodawcy, nie są nam znane. Widocznie przecież były dość mocne, aby ugiąć opór, który tyle kosztował. Zasada umowy zbiorowej została w całości utrzymana i bodaj że to jest rzeczą najważniejszą. Świat pracy zachował sobie prawo stawania jako całość, omawiania warunków pracy dla wszystkich pracujących. Robotnicy tygodnie całe znosili głód i skrajną nędzę, aby tej najwalniejszej zdobyczy nie wypuścić z rąk i pod tym względem wygrali na całej linji.

Interwencja Rządu przyszła. Ale naszem zdaniem przyszła może zbyt późno. Czy wcześniej była istotnie niemożliwa? Czy naprawdę musiało się doprowadzić do ostatecznego wyczerpania sił, aby uzyskać posłuch? Na pytania te odpowiedzi pewnej dać nie możemy. W każdym razie przewlekłość walki jakkolwiek świadczy dobrze o solidarności robotniczej — przecież bynajmniej dobrze nie świadczy o jej kierownictwie, gdyż z góry można było przewidzieć, że interwencja rządu zdziałać może wiele, ale w pewnych granicach. I te granice trzeba było poznać, zanim się przystąpiło do walki. W sprawach ekonomicznych nie należy właśnie względem rządu zajmować nieprzejednanego stanowiska, aby ofiarą polityki nie stały się niekiedy najżywotniejsze interesy mas, głód dzieci, choroby i zwiększona śmiertelność.

Inspektor pracy zabrał się do zażegnania i innych strajków.

PROFILAKTYKA CHIRURGICZNA.

Dr. Al. Fokszański, lekarz Ubezpieczalni Społecznej w Łodzi, zamieszcza w „Nowinach Społeczno-Lekarskich" następujące uwagi:

„Na stanowisku lekarza Kasy Chorych w Łodzi miałem możność przekonać się, ilu wypadków przy pracy, a co ważniejsze, skutków tych wypadków można było uniknąć przez poprzednie uświadomienie pracodawców i pracobiorców. Naprzykład, tak częste schorzenia, jak zanokcica (zapalenie ropne łożyska paznokcia, np. po wbiciu drzazgi), ropowica ręki i wszystkie ostre ropnie, któe powstają skutkiem ukłucia czy też okaleczenia przy pracy. Do tej kategorji należą również oparzenia, opatrzone z opóźnieniem, gdyż w tym wypadku wszystko zależy od pierwszego, umiejętnego opatrunku — itp:".

„Uszkodzenia powyższe sprowadzają często ogólną infekcję o fatalnym wyniku, a stale powodują kalectwo, zmniejszające sprawność funkcyj tak ważnego narządu, jakim jest ręka robotnika. Jako dalsze skutki powyższych wypadków powstają różne zniekształcenia po operacjach i oparzeniach, tworząc tem samem ogromną ilość inwalidów pracy. To są ci dożywotni rentjerzy, utrzymywani przez społeczeństwo".

Proponuje dr. Fokszański wniosek, by uniknąć tych kalectw i obciążeń, stworzyć w ośrodkach pracy zbiorowej oddziały profilaktyki chirurgicznej, których zadaniem byłoby udzielanie natychmiastowej pomocy we wszystkich drobnych wypadkach.

ODŻYWIANIE PRZY PRACY.

Przed trzema laty niemieckie Towarzystwo higjeny przemysłowej (Deutsche Gesellschaft für Gewerbehygiene), przy współudziale organizacyj robotniczych, przeprowadziło ankietę o odżywianiu robotników w przedsiębiorstwach przemysłowych. Wysłano 30.000 druków ankietowych: zebrano materjał, dotyczący stołowni fabrycznych w 2637 przedsiębiorstwach, zatrudniających 1500000 robotników.

Ankieta wykazała, że stan zdrowia, częstotliwość chorób i wydajność pracy zależą w dużej mierze od spożywania należytego posiłku w fabryce. Wydawanie obiadów w danem przedsiębiorstwie odciąża budżet domowy robotnika, ułatwia prowadzenie gospodarstwa żonie robotnika, często zatrudnionej także poza domem, dla robotników zaś nieżonatych rozwiązuje korzystnie sprawę odżywiania, odsuwając na drugi plan odwiedzanie gospod i barów i przez to samo zmniejsza skłonność do napojów alkoholowych. Stołownie fabryczne pozwalają czas, zużywany dotychczas na drogę, wyzyskać na wypoczynek lub na zaspokojenie potrzeb kulturalnych. Te wszystkie czynniki wykazują, że odżywianie robotnika w fabryce powinno być jednem z pierwszych udogodnień w pracy.

Zebrany materjał ankietowy zawiera bardzo ciekawe dane o higjenie odżywiania oraz spisy potraw, zestawione według pór roku, okolic, rodzajów zajęcia i poziomu kulturalnego robotników; rzuca to ciekawe światło na zwyczaje i sposoby odżywiania się ludności robotniczej.

Największą liczbę stołowni fabrycznych wykazał przemysł metalurgiczny, następnie kolejno: górnictwo, przemysł włókienniczy i chemiczny. Ceny są bardzo różne, zależnie od okolicy kraju: najwyższe ceny wynosiły 50 — 65 fenigów za posiłek.

W niektórych przedsiębiorstwach istnieją kuchnie do odgrzewania przyniesionych ze sobą posiłków.

W 1065 kantynach podawano napoje, w 774 nawet z zawartością alkoholu. W 856 przedsiębiorstwach stoją zawsze do dyspozycji robotników dzbany z mlekiem.

Stołownie są zorganizowane dwojako: albo 1) kantynę prowadzi samodzielnie komisja kuchenna, wybrana spośród robotników lub też 2) ta sama komisja sprawuje tylko nadzór nad gospodarką stołowni, prowadzonej przez właściciela przedsiębiorstwa lub wydzierżawionej osobom postronnym.

Ciekawą uwagę przesyła pewne przedsiębiorstwo w sprawie podawania napojów, zawierających alkohol: „W ciągu roku wydano 58000 litrów napojów bezalkoholowych i 5600 litrów piwa. Przed otwarciem kantyny spożycie piwa było o wiele wyższe. Wprowadzenie napojów bezalkoholowych oparto na systemie niskich cen. Np. litr herbaty z cukrem — 8 fenigów, kawy z mlekiem i z cukrem — 16 fen., kakao z mlekiem i cukrem — 24 fen.".

Odpowiednie odżywianie na miejscu pracy, przystosowane do wymagań pracy, dostarczenie organizmowi potrzebnych mu składników, jest ważnym czynnikiem pomocniczym w utrzymaniu zdrowia i wytrzymałości robotnika, szczególnie w gałęziach produkcji, narażających na choroby zawodowe.

BEZPIECZEŃSTWO LOTÓW.

Cała Polska śledziła z wielkiem przejęciem świetny turniej lotniczy.

Wszystkim imponuje niezwykła techniczna sprawność naszych samolotów oraz odwaga i opanowanie polskich lotników. I naprawdę ciężko myśleć, że w pracy swej, ludzie ci niezależnie od niebezpieczeństwa, które stale grozi ich życiu, narażeni są na przedwczesną utratę zdrowia.

Ostatnie badania, przeprowadzone przez J. White'a w Amerykańskim Instytucie medycyny lotniczej wykazały, że u pilotów występuje chroniczne zatrucie tlenkiem węgla, który wydobywa się z motorów spalinowych.

Badanie powietrza, którem oddycha zarówno pilot, jak i pasażerowie, wykazuje zawsze zawartość tlenku węgla, mniejszą lub większą, zależnie od konstrukcji samolotu. W samolotach niektórych typów gromadzi się on w tak znacznych ilościach, że we krwi pilotów stwierdzono około 15% tlenku węgla. Jakkolwiek w stężeniu tem nie grozi on jeszcze utratą przytomności, jednak takie systematyczne zatruwanie się nie pozostaje bez wpływu na zdrowie. Wywołuje ono różne zaburzenia nerwowe, powoduje anemje oraz szereg innych dolegliwości. Nie jest wykluczone, że przyczyną niektórych katastrof samolotowych może być chwilowe zamroczenie świadomości pilota z powodu zatrucia.

Zdaniem J. White'a możnaby uniknąć tych przykrych następstw przy niewielkich zmianach w konstrukcji rur, odprowadzających gazy spalinowe nazewnątrz.

WYPADKI PO POWROCIE DO PRACY.

Sprawozdanie związków zawodowych niemieckiego przemysłu chemicznego podaje wzrost liczby nieszczęśliwych wypadków przy pracy w 1933. M. in. sprawozdanie wymienia jeden bardzo charakterystyczny powód, a mianowicie: powrót bezrobotnych do warsztatów. Ludzie ci odwykli od maszyn i często padają ich ofiarą.

Podobne obserwacje poczyniono w polskim przemyśle, w przedsiębiorstwach niestety nielicznych, posiadających zorganizowaną służbę bezpieczeństwa pracy.

Obserwacje te dotyczą nietylko bezrobotnych, powracających po dłuższym okresie bezczynności, ale również t. zw. częściowych bezrobotnych, czyli zatrudnionych po kilka dni w tygodniu.

Fakty te świadczą, w jak wielkiem stopniu bezpieczeństwo pracy zależy od stanu fizycznego i moralnego człowieka.

Robotnik, pozostający dłuższy czas bez pracy lub pracujący tylko po 2 — 3 dni w tygodniu, jest nietylko wyczerpany fizycznie spowodu marnego odżywiania się, lecz nadto osłabiony nerwowo i wskutek tego narażony bardziej na niebezpieczeństwo.

BEZPIECZEŃSTWO NA BUDOWACH.

Niema dnia niemal bez nieszczęśliwych wypadków na budowach. Opóźnienie robót z powodu długiego strajku przynagla do pośpiechu, a w gorączkowem tempie nieraz zapomina się o najprymitywniejszych zabezpieczeniach przed wypadkami. Robotnik nasz, skłonny zawsze do brawury, o zabezpieczeniu sam nie pomyśli i lubi popisywać się nieraz karkołomnemi sztukami. Społeczeństwo jednak nie może obojętnie przyglądać się ludziom spadającym z budowanych domów. Nie może ze względów ludzkich. Nie może i ze względów gospodarczych. Trzeba, aby zrozumiano powszechnie, że za brak dbałości o zdrowie i życie pracujących, płacimy — i to bardzo dużo!

Każdy wypadek śmiertelny kosztuje instytucję ubezpieczeniową przeciętnie 12 — 15.000 złotych; każdy wypadek ciężki — który powoduje stałą niezdolność do pracy — 5 — 6.000 zł. Dochodzą do tego koszty leczenia, straty, wywołane przez przerwy w pracy, utrata zdolności do pracy przez poszkodowanego. W sumie wynosi to mniejwięcej dwa razy tyle, co koszt ubezpieczenia.

Co roku na obszarze Rzeczypospolitej zdarza się na budowach około 1.500 wypadków, które pociągają za sobą odszkodowania w postaci rent, a więc wypadków cięższych i śmiertelnych. Dziennie zatem 4 — 5 osób łamie na budowach ręce, nogi, ginie lub zostaje okaleczonymi na całe życie.

W okresie ożywionego ruchu budowlanego roczne straty z powodu wypadków wynoszą około 24 miljonów zł.

24 miljony złotych rocznie rzuconych w błoto! 24 miljony — to suma, za którą można zbudować 2.500 nowych domów mieszkalnych lub ułożyć 200 km. najpiękniejszej szosy!

Najwięcej wypadków zachodzi z powodu wznoszenia rusztowań budowlanych bez niezbędnych ochron i bez zachowania właściwych środków ostrożności. Blisko 30 proc. wszystkich wypadków przy pracy przypada na rusztowania, z czego większość — bardzo ciężkich i śmiertelnych.

Podejmując walkę z tem złem Instytut Spraw Społecznych zajął się kwestją opracowania zasad konstrukcyj bezpiecznych rusztowań, i ogłosił konkurs na pracę o rusztowaniach budowlanych ze stanowiska bezpieczeństwa pracy.

Pomiędzy uczestników rozdzielone zostaną następujące nagrody: I — 500 złotych, II — 300 złotych, dwie III — po 200 złotych. Ponadto Stowarzyszenie Zawodowych Przemysłowców Budowlanych R. P. wyznacza dwie dodatkowe premje po 100 złotych dla prac nagrodzonych I i II nagrodą.

Instytut Spraw Społecznych zwraca się z wezwaniem do tych wszystkich inżynierów, techników i majstrów budowlanych, którzy rozumieją nowoczesne zasady organizacji pracy, i doceniają wartość czynnika ludzkiego w pracy, oraz znają nowoczesne zasady kalkulacji w budownictwie i zdają sobie sprawę z ekonomicznego i społecznego znaczenia bezpieczeństwa pracy, aby wzięli w nim udział.

O szczegółach informuje Instytut Spraw Społecznych, Warszawa, ul. Wiejska 19 lub Redakcja Przeglądu Budowlanego, Warszawa, ul. Widok 22.

DYSKUSJA

WALKA Z TEATREM.

Od lat szeregu robi się w Polsce wszystko, aby zdepopularyzować teatr. Adminitracja jego jest stale na cenzurowanem. Uchybienia jej istotne i rzekome stanowią jeden z najulubieńszych tematów do wszelkiego rodzaju krytyki — przeważnie złośliwej. Jest to ulubiony temat dla „niefachowców". Źle jeśli teatr niema pomocy. Gwałtu! marnotrawstwo!—jeżeli dostaje subwencje. Fachowcy, aktorzy, teatrolodzy, krytycy teatralni, zajmują się najchętniej kierownictwem. Wystarczy, aby kto kolwiek objął kierownicze stanowisko w którymś z teatrów, natychmiast z kilku stron padnie miljon zarzutów o niestosowności wyboru, braku zrozumienia dla współczesnej, albo dawnej sztuki. Dyrektor, czy kierownik literacki „w trymiga" zostanie najgruntowniej zdyskredytowany i w ciągu kilku dni już cała Polska wie, że do teatru pod takim zarządem pozostającego nie warto chodzić, jest on bowiem w „skandalicznych" rękach.

Jeżeli p. Stefan Jaracz, jeden z najwybitniejszych aktorów polskich, umieszcza sążnisty artykół w „Wiadomościach Literackich", że p. Szyfman nie ma żadnych kwalifikacyj na kierownika teatrów warszawskich, żadnych po za sprycikiem handlowym — to rzecz jasna, że temu znawcy wierzą wszyscy czytelnicy i w rezultacie — uznają, że „budy" kierowane przez p. Szyfmana trzeba bojkotować. To jest jedyny wniosek. A skutek też jedyny — przedłużenie się kryzysu teatralnego. Przecież ten kryzys nie jest niczem innem tylko obojętnością publiczności.

Boć naprawdę nie można mówić o wyczerpaniu się twórczości dramatycznej, a jeżeli na razie nie wydaje ona dzieł pomnikowych, to nie przeżył się bynajmniej ani Słowacki, ani Fredro, ani Wyspiański. I „Dom otwarty" i „Klub kawalerów" gadają żywo, wniklivie, mocno. I bynajmniej nie zostały jeszcze wyczerpane wszystkie możliwości interpretacyjne tego wszystkiego, co mamy w skarb cu literatury polskiej i światowej. Kryzys teatru pogłębiamy my sami, my ludzie piszący, my, którzy dla teatru mamy wszystko — z wyjątkiem prawdziwego zrozumienia — z wyjątkiem prawdziwej chęci wspomożenia go, podniesienia, postawienia na odpowiednim pjedestale. Mamy zupełnie fałszywe przekonanie, że wszystko to może sprawić jakiś „właściwy człowiek" — i tego człowieka stale nam — „brak". Brak. Próbował tego Aktor wspaniały Solski, na czele teatru widzieliśmy tak wyjątkowo inteligientną osobę, jak Strońska i tak potężny talent, jak Jaracz i tak niestrudzonego organizatora jak Adwentowicz (nie chcemy w tem zestawieniu umniejszyć jego gienjuszu artystycznego) i wspaniałego incenizatora Schillera i takiego twórcę jak Pronaszko—nic nie pomogło. Wszystko wzięło w łeb — wszędzie klapa i klapa. Klapnęła nawet „Reduta" Osterwy.

A teraz — gdzie, w którym z tych teatrów nie spotkaliśmy się z rewelacjami artystycznemi? Któryż to z nich był taki, który bodaj w części swej działalności nie przyniósł czegoś nowego, świeżego, mocnego, porywającego? Któryż to przynajmniej w pewnym okresie nie sięgnął w głąb twórczości, wydobywając z zapomnienia — cuda? Otóż właśnie tak marnego — nie było. „Teatr Polski" nie był idealny — zdobycze jego nie są nadzwyczajne, a jednak miał i on swoje wspaniałe momenty i stanowi coś w dziejach naszej kultury. Kaden Bandrowski nie zamanifestował swojej działalności teatralnej, a jednak głupstwem kapitalnem byłoby twierdzić, że nie jest artystą i nie może nic wnieść do teatru — twierdzić na kredyt. A zresztą — faktem jest, że już wniósł. Ale bodaj czy te plusy widzi się kiedyindziej niż w czasie jubileuszu.

Więc tu jest grunt: musimy zmienić stosunek do teatru — przedewszystkiem my sami, my ludzie piszący. Musimy stworzyć w społeczeństwie polskiem kult dla teatru, musimy podtrzymać ten kult. Z tego, że żadna cenzura nie krępuje swobody krytyki w tej dziedzinie, nie wynika bynajmniej, aby używać na tem polu i brykać niepotrzebnie, gdyż nigdzie tak, jak właśnie tu nie jest tak łatwo zniechęcić ludzi do samej rzeczy. A raz zabita potrzeba — nie odrodzi się tak szybko. Kto nie był w teatrze rok — ten nie będzie i lat dziesięć — zwłaszcza, że ma kino na zawołanie, kino, na repertuar którego jeżeli się nawet psioczy, to gdzieś petitem, na samym końcu, w niewidocznem miejscu.

Twórczość sceniczna istnieje, doskonali aktorzy w Polsce są, są świetne talenty reżyserskie i inscenizatorskie, pomysłów nam również nie brak. istnieje przepyszna literatura dramatyczna — brak tylko publiczności — brak potrzeby teatru. Oto i pole do pracy dla Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej — pole zaiste wspaniałe.

Otóż przenieśmy się w szeregi publiczności. Pamiętam — wystawiano w Warszawie jedną ze sztuk, która dziś zeszła całkowicie z repertuaru. Była to „Cyganerja Warszawska". Rozpoczynają się próby. Pisma warszawskie umieszczają charakterystykę rzeczy. Podjęto zagadnienie społeczne z nią związane, artykuły Ehrenberga grzmią przeciwko temu, co potem określono jako „bogojczyźniactwo", frazeologji pseudo - patrjotycznej. Padają odpowiedzi, dyskusja staje się namiętna — w robocie jest i koń parowy i klerykalizm i postęp techniczny i oto w takiej atmosferze ukazuje się „Cyganerja". Tłumy. Na widowni w czasie antraktów spory. Oklaski grzmią już nie tylko dla grających, ale dla myśli wypowiadanych. Burza trwa przez kilka tygodni, a teatr jest wypełniony po brzegi. To jeden wypadek, kiedy zagadnienie społeczno - kulturalne pociągnęło. Przypomnijmy sobie analogiczne rzeczy z wystawieniem „Wesela" w Krakowie i we Lwowie, kiedy już na parę tygodni przed ukazaniem się rzeczy na deskach, już podjęto ataki na zakusy cenzorów przeciwko dramatowi. I proszę sobie pomyśleć, czy dziś, właśnie dziś, w epoce rozpasania nacjonalizmów nie wywołałby podobnej dyskusji, przenikającej aż do trzewi społeczeństwa — bodaj „Sen srebrny Salomei"? — tak bliski nam, tak na nowo przeżyty.

Wyciągnięcie ze sztuki tego, co w niej pozostało społecznie aktualne, jest potężnem narzędziem propagandy jej w społeczeństwie. Teatr staje się

czemś więcej niż widowiskiem wesołem lub smutnem, staje się retortą doświadczalną, w której oglądamy, jak życie reaguje na pewne pomysły i programy. Idźmy dalej.

Na pewnym poziomie kultury teatralnej popularyzują się już pewne zagadnienia czysto artystyczne. Zagadnienia inscenizacji. Jak ostatecznie skomponowany zostanie chór w Lilli Wenedzie? Jak Kora będzie przemawiała do Demetery? Jak odda Chłopickiemu zwitek Wiarus?

W jednem z prowincjonalnych miast rosyjskich słyszałem zażarte spory na temat, który aktor, grając Gorodniczego w Rewizorze, doskonalej opowiadał sen o szczurach, które ostatecznie „powąchały... — i odeszły". Oto te słowa. A ten je tak podawał a ów inaczej, a tamten jeszcze tak — kto lepiej? Kto dokładniej oddawał myśl autora? I sięgało się w tekst komedji. Ci lekarze, inżynierowie, nauczyciele, adwokaci, którzy brali udział w dyskusji, na pamięć umieli całe sceny — widzieli je w Moskwie i Petersburgu, a teraz, gdy prowincjonalny teatrzyk wędrowny przyjechał — znów biegli zobaczyć — jak też to? Kto zwyciężył? Jaki wpływ znajdą na tych początkujących siłach?

Ale te nastroje nie powstają z niczego. Trzeba je zbudzić, trzeba je wyrobić. „Daję repertuar wspaniały" — mówił mi jeden z kierowników teatrów: Szekspir, Ibsen, Słowacki — wszystko co jest najpiękniejszego. I głucho.

Tak — głucho. Inaczej być nie może. Dzienniki dadzą bardzo fachową recenzję, w której specjalista okaże maksimum erudycji... kolegom po fachu. Szeroka publiczność nad feljetonem tym będzie ziewać. A potem cisza — aż do następnej premjery. Jeżeli specjaliści się pokłócą — to tem gorzej, bo czytelnik przekona się, że nie warto chodzić — i plunie. Pisma literackie jeszcze bardziej fachowo rzecz obstawią, będą rozprawiały na temat „walorów", zdobyczy itd. W rezultacie na widowni będą pustki.

Otóż, jeżeli samorzutnie nic nie powstanie — TKKT musi się zabrać planowo do szerzenia kultury teatralnej. Sztukę, nim ukaże się na deskach scenicznych, trzeba wprowadzić w życie. Trzeba dostarczyć materjału nauczycielom szkolnym, by mogli poinformować o niej młodzież, trzeba przez prelegientów specjalnych trafić do stowarzyszeń robotniczych. Szeroka popularyzacja nie tylko sztuki, ale i problemów przez nią poruszonych, szersze uświadomienie, w jaki sposób była ona wystawiana i kiedy, jacy aktorzy dali tu coś swojego, jakie wrażenie kiedy wywoływała. Trzeba z każdej wystawy uczynić wydarzenie, bo każda stanowi istotne wydarzenie w życiu kulturalnem. Trzeba sprawić, żeby o tem ludzie poczęli gadać — gadać szeroko, głośno...

Teatr nie jest „tabu". Ale teatr jest instytucją, która krytykę najłatwiej przyjmuje. W tworzeniu teatru, jego twarzy, najłatwiej wziąć udział. Aktor, reżyser są może najbardziej czuli na głosy, jakie do nich dochodzą i najpilniej je studjują, najgłębiej wnikają, o ile mogą się do nich dostosować. To też atmosfera, jaka otacza teatr, decyduje o zmianach, jakie w nim zachodzą.

I to jest całe nieszczęście, że w Polsce atmosfery teatralnej niema. I to jest całe szczęście, że ta atmosfera może być wyrobiona — może być wyrobiona łatwo z nakładem stosunkowo niewielkich sił organizatorskich.

Tylko że wymaga to nie tylko subwencyj na teatr, subwencyj, bynajmniej nas nie niepokojących, bo płaciła je i Rzeczpospolita Ateńska, ale i wielkiej poważnej pracy — a jeszcze — pozytywnego ustosunkowania się do teatru ze strony tych, którzy teatr uważają za czynnik doniosły w wychowaniu społeczeństwa. Dyfamacja teatru nie pomoże.

TOWARZYSTWO KRZEWIENIA KULTURY TEATRALNEJ, OFIAROWAŁO 1000 BILETÓW MIESIĘCZNIE DO TEATRÓW POZOSTAJĄCYCH POD JEGO ZARZĄDEM DLA BEZROBOTNYCH.

W ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ.

Ze Stanisławowa donosi prasa o nowych procesach ukraińskich. Padły wyroki surowe za walkę ze szkołą polską. Prasa — prawie cała widzi w tem zadośćuczynienie poczuciu sprawiedliwości. Nie przeczymy, że wyroki są w zgodzie z kodeksem karnym. Ale w zgodzie z kodeksem austrjackim było stracenie Wiśniewskiego i Kapuścińskiego. W zgodzie z kodeksem karnym rosyjskim było skazanie Traugutta i Montwilla. Poczucie sprawiedliwości mówiło jednak nam co innego. Nie porównujemy zresztą ludzi, ani ostrości reakcji prawnej.

Ale powstaje inne pytanie. Skąd się wzięła u nas taka nieograniczona troska o młodzież ukraińską, że za wszelką cenę pragniemy ją nauczyć języka państwowego? Czy tak gwałtownie chodzi nam o stworzenie konkurencji dla inteligiencji polskiej na wszystkie posady rządowe? Czy tak pilno nam, aby nauczyciela polskiego wyparł ukraiński, policjanta polskiego wyparł ukraiński? Co zależy nam na tem, aby jakiś Iwan, czy Hryć nauczył się pisać i czytać po polsku? Przecież naprawdę to jakieś zaślepienie. Czy kto sobie wyobraża, że w ten sposób powiększymy nasz stan posiadania, czy wynarodowimy jakiegoś Ukraińca? Znajomość języka państwowego jest wygodą, jest atutem dla obywatela każdego, daje mu swobodę poruszania się po całem Państwie, daje mu w walce konkurencyjnej o stanowisko — atuty. Dlaczego mamy wciskać te atuty przemocą? Kto nie chce ich posiadać — niech nie posiada. Sam będzie ponosił konsekwencje.

To słuszne stanowisko zajął w swoim czasie jeden z najlepszych znawców zagadnienia ukraińskiego, p. Stanisław Łoś, który zupełnie słusznie podniósł w swoim czasie, że z chwilą, gdy przestaniemy narzucać nasz język ludności ukraińskiej, ona sama będzie musiała zorganizować sobie jego nauczanie — sama będzie musiała domagać się tego, jako przywileju, bo ten język będzie jej potrzebny w stosunkach gospodarczych, naukowych, już nie mówiąc o administracyjnych, samorządowych i to nie tylko ze względu na Warszawę i centrale, ale na olbrzymią ilość Polaków żyjących w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu.

Trzeba myśleć poprostu, uczciwie, bez nałogów naiwnej eksterminacji, bez naśladowania metod, które zbankrutowały zupełnie gruntownie i

których bankructwo widzieliśmy na naszej ziemi, która przetrwała najzacieklejszą germanizację, choć germanizacja ta zbrojna była w środki, o jakich my w dzisiejszych warunkach poprostu marzyć nie możemy. P. Łoś zabiera ponownie głos w tej sprawie na łamach „Buntu Młodych". Przytaczamy stuprocentowo słuszne wnioski:

Z tem, że społeczeństwo ukraińskie, zwłaszcza halickie, potrzebuje zrewidować swe poglądy na własną narodową historję i własne położenie polityczne, zgodzi się skwapliwie bardzo wielka ilość Polaków.

Z czem się nielatwo pogodzą, to z twierdzeniem, że jedynem laboratorjum, w którem może się wytworzyć nowa, zdrowa ideologja historyczna i polityczna ukraińska, jest tylko wyższa ukraińska uczelnia. Skłonniejsi będą do przypuszczenia, że tego rodzaju uczelnie staną się z miejsca ogniskiem ukraińskiego nacjonalizmu, że daleko będzie bezpieczniej powierzyć wychowanie ukraińskiej młodzieży uczelniom polskim, dającym gwarancję państwowego patrjotyzmu i bez wątpienia stojącym pod względem naukowym wyżej od wszelkich możliwych szkół ukraińskich. Na to może odpowiedzieć bijące w oczy doświadczenie trzech ostatnich pokoleń. Najzaciętsi, najlepsi i najgłupsi przedstawiciele ukraińskiego szowinizmu wyszli właśnie z polskich uniwersytetów. Polonofilów wśród Ukraińców można znaleźć jedynie wśród tych, których noga nigdy w żadnej polskiej szkole nie postała. Niech mi wybaczą nasze czcigodne uczelnie i nasi zawodowi pedagogowie, ale jak patrzę na nie i na nich, i na ich wychowanków ukraińskich, to przypomina mi się zawsze kwoka, która wysiedziała kaczęta. I mam wrażenie, że to porównanie jest jedynie trafne aż do końca, to jest, że, jak kwoka zawsze jest gotowa wysiadywać kacze jaja, pewna, że za setnym lub tysiącznym razem wyklują si z nich kogutki, tak zawodowi pedagogowie pewni są, że jeszcze przed dniami sądu ostatecznego wychowają jakąś generację chodzących w konfederatkach rusinów. Ten cudowny wynik jest pewny — niewiadomo tylko, kiedy nastąpi. Trzeba na to tylko odpowiednio zmienić ten lub ów szczegół w programie nauczania. Że pedagog wierzy w wychowawczą moc szkoły — to jest zrozumiałe. Podobnie, jak zrozumiałe jest, że Wilhelm II jest z przekonania monarchistą. Zdrowy chłopski rozum, obserwacja życia codziennego, mówi jednak co innego. Szkoła wychowuje bardzo mało — to jest wychowuje tylko indywidualności słabe, których jest wprawdzie bardzo dużo, ale które właśnie dlatego, że są słabemi, będą przez całe życie jurare in verba magistri — w szkole nauczyciela, a w życiu — redaktora ostatnio przeczytanej gazety. Szkoła państwowa wychowuje znacznie mniej od jakiejkolwiek innej, a już szkoła państwa, które się uważa za obce, nie wychowuje wcale, to jest osiąga tylko wyniki naopak, wręcz przeciwne do zamierzonych. I nie jest to bynajmniej winą tej szkoły i jej nauczycieli — wynika to z samej istoty rzeczy. Szkoła daje wiadomości i daje metody myślenia. Nie daje nigdy uczuć, nie daje poglądów, a tylko te ostatnie stanowią więź, łączącą organicznie jednostkę z Państwem. Wyższa szkoła ukraińska będzie ogniskiem nacjonalizmu ukraińskiego nie dlatego, że będzie zbiorowiskiem nacjonalistycznie nastrojonych ukraińskich młodzieńców. Ogniskiem ukraińskiego nacjonalizmu jest w tej chwili uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, który bynajmniej nie jest wyższą szkołą ukraińską.

Osłabienia natężenia ukraińskiego nacjonalizmu nie należy oczekiwać po tem, że nauczyciele w szkołach średnich będą tłumaczyli młodzieży, że należy być lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej, lecz po tem, że umysłowa elita narodu, po sumiennych badaniach zmieni swoje poglądy. Ta zmiana poglądów u elity wpłynie z biegiem czasu na zmianę poglądów społeczeństwa, ale bynajmniej nie młodzieży w pierwszej linji...

Wyższa szkoła ukraińska jest potrzebna nie tyle jako uczelnia czy zakład wychowawczy dla młodzieży, ile właśnie jako laboratorjum, w którem nowa ideologja ukraińska będzie się mogła wytworzyć niezależnie od postronnych wpływów i być przyjęta przedewszystkiem przez dojrzałą część narodu".

P. Łoś myśli ściśle — patrzy na rzeczy bez uprzedzeń, ocenia fakty, a nie urojenia. I gdybyśmy poszli za jego głosem, gdybyśmy postawili sprawy na gruncie faktów i istniejących warunków — to nasze szkolnictwo przestałoby być kamieniem obrazy dla miljonowej rzeszy ukraińskiej, a nasze sądy nie wydawałyby wyroków, które w oczach tego społeczeństwa fabrykują bohaterów i męczenników. Oby jak najprędzej do tego doszło.

NA CZELE.

Kiedyś — bardzo dawno — jeszcze przed wojną — było to w Zakopanem, w letniej stolicy Polski, rozgadał się nasz znakomity geolog i niemniej znakomity teatrolog Mieczysław Limanowski, o widokach rozwoju Polski.

— Nie możemy, powiadał z impetem, stawać do konkurencji z narodami innemi na polach, które są przez nie już opanowane. Nie nauczymy się nigdy lepiej od nich wyrabiać mydła, ani perfum. Zawsze maszyny do szycia ich będą doskonałe, a nasze najwyżej zrównać się mogą z niemi. Pierwszymi możemy być tylko w dziedzinach nowych, na których oni zaczynają, tak samo jak my. Ot — lotnictwo — to pole na którem możemy być pierwsi. Lotnictwo otwiera ogromne możliwości. Jeżeli nie przegawronimy, jeżeli potrafimy się do niego zabrać — to będziemy pierwsi, bo tu o pierwszeństwie decyduje zdolność i zapał. A tego nam nie zabraknie.

Słowa te wywołały pół-uśmieszek na ustach słuchaczy — większości ich przynajmniej, choć Limanowski umiał porywać i prawie zawsze porywał. W tym wypadku, dygresja od zagadnienia pojęć geologicznych Ajschylosa w dziedzinę przemysłu jednak była zbyt gwałtowna.

Dwadzieścia parę lat minęło od tego czasu. I cała ta rozmowa stanęła mi w pamięci z dziwną wyrazistością, kiedy padła wiadomość o zwycięstwie Żwirki. Ale wtedy Żwirko był sam. Trop w trop za nim biegli inni, a Polacy dalekie już miej-

sca tylko zajęli. Trudno było uogólniać. Brawura znakomitego lotnika, zdolność do ryzyka mogła decydować. Tak myślał skromny laik. Rok obecny przecież dał już coś niecoś więcej. W turnieju lotniczym oba pierwsze miejsca są nasze, a tylko przypadek wyrwał nam trzecie. W zawodach balonowych trzy pierwsze miejsca są nasze. To już jest bezapelacyjne przodownictwo. To zwycięstwo na całej linji. Już to nie jeden Żwirko, ale Bajan, Płonczyński, Ilynek, Burzyński, Janusz — a za nimi cała czereda ludzi tym samym duchem owianych, tą samą energją natchnionych, gotowych walczyć z nimi o lepsze. Za pierwszą gwiazdą ukazały się inne, ukazały całe ich konstelacje, świecące jasno ponad całą cywilizowaną ludzkością.

I nie tylko to. Bo ludzie ci zwycięstwo osiągnęli, używając sprzętu polskiego. Zajaśniał genjusz inżynierów, którzy w zespole pracując, uzyskali istotnie pierwszorzędne wyniki. I jeżeli komicznym wydaje się nam entuzjazm dla jakichś biegaczy, kolarzy, kulistów, dyskobolów i innych zawodowców, udających z niesłychanym cynizmem amatorstwo sportowe, to właśnie to zawodowstwo szlachetne, szczere, uczciwe — wzbudzać musi zapał powszechny.

Limanowski miał rację. Przeczuł drogę właściwą. Szukanie nowych dróg postawiło nas w pewnych gałęziach życia (to jest coś więcej niż sport) na czele cywilizowanego świata.

Jeżeli wszakże przyjrzymy się lepiej faktom, to dojdziemy do wniosków może jeszcze donioślejszych. Ustalmy sobie jedno — oto, że w gruncie rzeczy oba typy samolotów zgłoszonych przez nas do konkursów należały do przodujących. RWD jako wypróbowany osiągnął prym. Kto wie, czy odpowiednio przystosowany PZL nie zyska pierwszeństwa w przyszłości. Oba są świetne i świetne są motory nasze. Dyskusję na ten temat zostawmy jednak specjalistom, gdyż nie o to nam chodzi. Chodzi o to, że w tym wypadku do konkursu przeciwko olbrzymim kapitalistycznym przedsiębiorstwom Europy Zachodniej stanęły nasze wytwórnie państwowa i społeczna przez Państwo subwencjonowana. Po tamtej stronie była potęga pieniądza — po naszej zapał społeczeństwa i organizacja Państwowa. I niech kto gada, co chce, na etatyzm, niech kto gada, co chce, o doskonałości liberalistycznej gospodarki — w tym wypadku udowodniliśmy, że nasza nieliberalistyczna akcja, działanie etatyczne organów, przeciwstawiło się skutecznie największym wysiłkom kapitału prywatnego — tego wielkiego kapitału z zagranicy.

I tu jet społeczne znaczenie naszego zwycięstwa. Naszego w najściślejszem tego słowa znaczeniu wspólnego, naszego, reprezentowanego przez Rzeczpospolitą samą, przez samą Polskę, jako taką. Piszę te słowa na naszej własnej, również przez zakłady państwowe wyrabianej „Efce", która jakoby się cieszyła, że oto na innem polu wytwórczości państwowej odnosimy zwycięstwo. A więc wytwórczość państwowa osiąga doskonałość niedostępną dla prywatnej. To fakt, który musi dużo powiedzieć organizatorom naszego życia gospodarczego.

Samoloty i motory to nie wszystko. Nasze maszyny do pisania wytwarza Państwo. Państwo daje nam rowery najznakomitsze, Państwo wytwarza najdoskonalsze samochody - autobusy.

A cóż mówić o wspaniałej produkcji związków azotowych? Rzeczpospolita idzie jeszcze dalej. Państwowe warsztaty marynarki wojennej spuszczają pierwsze, wytworzone w kraju, przy pomocy krajowych materjałów i krajowych sił inteligienckich i robotniczych, okręty. Już i te mamy i nie mielibyśmy nigdy, gdyby Państwo do tego się nie wzięło.

I to właśnie jest najbardziej charakterystyczne, że wszystko to dzieje się jakoby wbrew woli oficjalnych rzeczników gospodarstwa narodowego. Pełno jest dygnitarzy, którzy najchętniej w świecie zawiesiliby tę całą działalność wytwórczą Państwa i szukali, w jakie prywatne ręce oddać to wszystko. Ileż razy nawet najbardziej odpowiedzialni ludzie z najwyższych trybun w kraju zapewniali, że nic gorszego w ich pojęciu od etatyzmu niema.

I zapewniając tak, sami nie mogli się oprzeć coraz rozszerzającej się działalności ekonomicznej, wytwórczej. Nie mogli poskromić tego żywiołowego pędu, z jakim idziemy w nieświadomie obranym kierunku.

Więc czas już powiedzieć sobie, że skoro życie nas pcha samo na pewne drogi, skoro z największą niechęcią musimy na nie wstępować, czas najwyższy powiadamy pójść w tym kierunku szczerze. Dość mamy antietatystycznych zapewnień ze strony ludzi nie orjentujących się, „ku czemu życie idzie". Niech skorygują swe poglądy na sprawę przegraną z kretesem. Niech zrozumieją nareszcie, że skoro dziś już 35% przedsiębiorstw dochodowych jest w rękach Państwa — niema żadnej siły, któraby zdołała je oddać w ręce prywatnych przemysłowców, a jeżeli niema — to i nie trzeba tracić czasu na poszukiwanie jej, gdyż w czasie tego poszukiwania w sposób nie mniej chaotyczny niż dotąd, będą w dalszym ciągu płynąć marszruty ku Państwu, które im daje najmocniejsze oparcie.

St. Roth.

KATASTROFA — ZBRODNIA.

W kopalni Gresford, w Anglji, wydarzyła się — jak doniosły telegramy — katastrofa wskutek wybuchu gazów. Straciło w niej życie około 100 górników, tak „mało", gdyż wybuch nastąpił w czasie nocnej szychty. 300 górników zdolano uratować.

Katastrofa w Gresford, podobnie jak i zeszłoroczna „Nelsona" w Czechosłowacji, która kosztowała życie 144 l., nie jest, mimo swych potwornych rozmiarów, największą. Smutną palmę pierwszeństwa dzierży do dziś kopalnia Courriera w r. 1906, w której zginęło 1100 ludzi, drugą Renboda z 348 śmiertelnemi ofiarami. Po każdym takim wypadku winę wybuchu czy pożaru, usiłuje się złożyć na karb „siły wyższej". Należy to odrzucić. W dzisiejszym stanie techniki każda katastrofa o tych rozmiarach jest wyłącznie wynikiem niedbalstwa. We wszystkich dotychczasowych wielkich katastrofach winę ponosiło kierownictwo kopalni.

Pierwszym warunkiem wybuchu jest nagromadzenie się gazów. Najważniejszym ich składnikiem jest metan, gaz błotny, powstający z rozkła-

du ciał organicznych, bez dostępu powietrza. W kopalniach tworzy się on stale i, jako lżejszy od powietrza, gromadzi w górnych chodnikach.

Metan z powietrzem, tworzy silnie wybuchową mieszaninę, jeśli stężenie metanu wynosi od 5 do 14 proc. Najniebezpieczniejszą jest mieszanina, o 9 proc. metanu, gdyż przy tym stosunku tlen powietrza wystarcza do zapalenia całości gazu, który spala się w temperaturze 1500 — 2650 C. i w chwili wybuchu powiększa w jednej chwili 10-krotnie swoją objętość. Na tem polega jego siła niszczenia. Równocześnie tworzą się gazy trujące, zwłaszcza tlenek węgla, który zatruwa pozostałych przy życiu.

Nagromadzeniu metanu w powietrzu kopalni można łatwo zapobiec przez wentylację. Dzisiejsze urządzenia wentylacyjne działają tak sprawnie, że w krótkim czasie potrafią wypłókać olbrzymie ilości metanu. Należy tylko systematycznie kontrolować skład powietrza w poszczególnych odcinkach kopalni i w razie potrzeby nacisnąć guzik zapasowego wentylatora. Zadanie kontroli czystości powietrza, ułatwiają ogromnie automatyczne aparaty, rejestrujące i donoszą o niebezpieczeństwie nagromadzenia metanu. Wszystkie kopalnie, których kierownictwo dba o życie ludzkie, posiadają tego rodzaju urządzenia.

Równie niebezpieczny, jak metan, jest pył węglowy. Największa katastrofa świata w kopalni Courriera powstała właśnie wskutek jego wybuchu.

Wybucha tylko ten pył, który przy ogrzaniu wydziela gazy palne. Musi on być nadto suchy — wilgotny nigdy nie eksploduje.

Tworzeniu się pyłu w kopalniach również można skutecznie zapobiec. A więc zamiast kruszyć podkłady węgla dynamitem, używa się do tego celu maszyn wiertniczych; albo zlewa się węgiel wodą. Stosuje się też ostatnio rozpylanie pyłu kamiennego, który jest niepalny i nie dopuszcza do nagromadzenia się nadmiernych ilości pyłu węglowego.

Aby powstał wybuch, materjał palny — gazy lub pył węglowy — muszą się od czegoś zapalić.

Statystyka wybuchów prowadzona od roku 1900 wykazała, że dotąd przyczyną eksplozyj w 70 proc. wszystkich wypadków była lampka górnicza Dary'ego, wynaleziona jeszcze w 1815 r. Jest to lampa acetylenowa, chroniona siatką miedzianą, przez którą płomień nie może przeskoczyć nazewnątrz. Zdarzają się jednak wypadki rozbicia dolnego klosza lampki, lub lekkomyślnego jej otwierania, a wówczas wybuch może bardzo łatwo nastąpić. Nowoczesne kopalnie w celu uniknięcia niebezpieczeństwa posługują się lampami elektrycznemi, które są absolutnie bezpieczne.

Niektóre katastrofy wynikły wskutek zapalenia się gazów od motorów elektrycznych. Wszystkie motory iskrzą, od iskier zaś łatwo zapala się gaz lub pył węglowy. Elektryfikacja kopalń w dziale maszynowym stworzyła więc nowe niebezpieczeństwo.

Ale i na to istnieje rada. Można uniknąć iskrzenia motorów, jeśli się je zaopatrzy w specjalne ochraniacze. Jeszcze lepiej jest zamiast energji elektrycznej używać do pędzenia motorów ścieśnionego powietrza, jak to stosują niektóre kopalnie. Niekiedy też zapala wybuch dynamit.

I to jeszcze jeden powód do odrzucenia tego materjału.

Każda katastrofa powstaje wskutek zaniedbania jednego z wymienionych warunków bezpieczeństwa pracy. Wina spada zawsze i całkowicie na zarząd. I słusznie domagano się w Czechosłowacji w roku ubiegłym, po katastrofie Nelsona, upaństwowienia kopalń węgla. Przedsiębiorcy prywatni, którzy wykazują tak karygodną lekkomyślność w kontroli i organizacji bezpieczeństwa ludzkiego, powinni być oddani pod kuratelę społeczeństwa.

ZMNIEJSZENIE CIĘŻARÓW SPOŁECZNYCH.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w ożywionej dyskusji, jaka toczy się obecnie na temat ubezpieczeń społecznych w Polsce i t. zw. ciężarów socjalnych, nie zwraca się prawie zupełnie uwagi na to, że jednym z najbardziej skutecznych środków na obniżenie obciążenia życia gospodarczego świadczeniami społecznemi jest postawienie na właściwym poziomie akcji zapobiegawczej zarówno w dziedzinie wypadków przy pracy, jak i w zakresie chorobowości.

Roczne obciążenie zakładów ubezpieczenia od wypadków rentami, przyznanemi osobom poszkodowanym przy pracy, wynosi u nas około 50 — 60 miljonów złotych; dochodzą tu jeszcze koszty leczenia, które można szacować na około 30 — 40 miljonów złotych rocznie. A jeżeli uwzględnić pośrednie straty, jakie ponosi nasza gospodarka naskutek wypadków przy pracy, to otrzymamy ogromną sumę około 250 miljonów złotych rocznych strat.

Analiza wypadkowości, przeprowadzona w różnych gałęziach przemysłu, wykazuje, że zachodzi bardzo wielka rozpiętość częstości wypadków w poszczególnych przedsiębiorstwach: w kopalniach węgla wyraża się stosunkiem 1:5, w hutach żelaza 1:4 (5); podobny stosunek zachodzi i w innych przemysłach. Najniższą częstotliwość wypadków wykazują te przedsiębiorstwa, które posiadają zorganizowaną służbę bezpieczeństwa pracy.

Na podstawie dotychczasowych badań można z całkowitą prawie pewnością twierdzić, że obniżenie wypadkowości w przemyśle o 30 proc. może być dokonane bez specjalnych wkładów finansowych, a li tylko na drodze odpowiedniego wysiłku organizacyjnego.

Gospodarczy efekt takiego wysiłku, to oszczędzić dla instytucji ubezpieczeniowej 15 — 18 miljonów złotych, dla całego zaś gospodarstwa — około 75 miljonów zł. rocznie.

Z powyższego widać, jak wydatnie obniżenie ciężarów społecznych możliwe jest do osiągnięcia w samej dziedzinie ubezpieczenia wypadkowego.

W zakresie chorobowości analogicznych badań jeszcze nie przeprowadzono. Nie ulega jednak wątpliwości, że zorganizowana na szeroką skalę akcja profilaktyczna w dziedzinie chorobowości, a zwłaszcza w dziedzinie chorób przemysłowych, może doprowadzić do jeszcze znacznie większego zmniejszenia obciążenia życia gospodarczego świadczeniami społecznemi.

OD ADMINISTRACJI.

PRZYPOMINAMY SZANOWNYM PRENUMERATOROM, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA KWARTAŁ III — BĄDŹ BEZPOŚREDNIO W ADMINISTRACJI PISMA, BĄDŹ TEŻ NA KONTO CZEKOWE NR. 28.599. PRZEKAZ DOŁĄCZAMY DO NINIEJSZEGO NUMERU.

PĘKNIĘTA OŚ.

Osią polityki zagranicznej Polski — mówiono powszechnie — jest przymierze z Francją. Deklamowano na ten temat bardzo wiele wzruszających rzeczy — na głos, a tymczasem po cichu — opowiadano sobie zupełnie co innego. Bo zagadnienie to nie jest ściśle polityczne. Ma ono stronę moralną, posiada i pewne cechy społeczne.

Moralna strona — to fakt, że kiedy po odzyskaniu niepodległości stanowiliśmy dla świata wielki znak zapytania, kiedy borykaliśmy się z bardzo licznemi trudnościami — Francja zrozumiała, że bądź co bądź musi mieć jakiegoś sprzymierzeńca na wschodzie Niemiec, ale na wszelki wypadek zdecydowała, że my, jako strona bardziej potrzebująca oparcia, słabsza, powinniśmy jaknajdrożej za nie zapłacić. Układ handlowy z Francją jest najniekorzystniejszy z wszystkich, jakie kiedykolwiek, z kimkolwiek zawieraliśmy, a wejście jego w życie warunkowało sojusz.

Dyplomacja francuska nie omieszkała ponadto wyzyskać sytuacji na korzyść swoich obywateli. Musieliśmy od nich kupić bezwartościowe nieraz działa. Zyskali oni coś niecoś i na Górnym Śląsku, i w dziedzinie koncesyj i jeszcze i jeszcze. A ludność nasza odczuwała te koncesje bardzo dotkliwie, gdyż z wszystkich kapitałów, jakie kiedykolwiek na ziemiach polskich pracowały, najbezwzględniejszym, najuciążliwszym był niestety kapitał francuski. Nie liczył się on nigdy z interesami kraju, pomiatał pracownikiem polskim, faworyzował najciemniejsze figury sprowadzane z zagranicy — oto, co widzi na każdym kroku ludność Zagłębia, Łodzi, Częstochowy. Próżnoby tam ktokolwiek szukał cienia sympatji dla Francuzów.

Emigrant nasz miał we Francji najcięższą pracę i najlichsze zarobki — a skoro tylko zjawiły się trudności — jest najbezwzględniej usuwany.

To wszystko składa się na obrazek bynajmniej nie zachęcający, bynajmniej nie kultywujący uczuć przyjaźni. I temu wszystkiemu przeciwstawić można tylko jedno: nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół — są naszymi przyjaciółmi.

Tylko, że nawet w tym wypadku nie jest tak dobrze, jakbyśmy się mogli spodziewać. Ci nasi przyjaciele nie wahali się zwracać przeciw nam, pomniejszać naszą rolę w świecie, próbować porozumienia z wspólnymi nieprzyjaciółmi i odciągać od nas przyjaciół. Wszystko to świadczy, że moralnego podłoża dla przymierza polsko - francuskiego nie wytworzono. Czy nasza to wina? Nie. Nasza strona umiała być lojalną. Naprawdę usiłowaliśmy się zbliżyć do Francji. Spopularyzowaliśmy u nas język francuski, zapoznawaliśmy się z kulturą francuską, subwencjonujemy szkoły francuskie w Polsce, rozwinęliśmy szeroko turystykę do Francji. Prasa nasza usilnie i bezinteresownie propagowała przyjaźń z Francją, choć nieraz napotykała ze strony Paryża liczne trudności. W Paryżu bowiem — nie robiono nic w tym kierunku. Każdy artykuł przyjazny w dziennikach trzeba było kupować za gotówkę. Jak tylko wydatki nasze na propagandę we Francji malały — natychmiast podnosiła się „propaganda kurytarzowa" lub jaka inna, natychmiast gazety naszej „przyjaciółki" rozpisywały się o naszych mniejszościach, litewskim Wilnie, absurdalności granic, o polskim imperjalizmie i innych naszych wadach rzeczywistych i urojonych, a jeśli brakło tematu innego to o „bandytach" polskich.

Rzecz jasna, że taka przyjaźń — naprawdę nie może się ciągnąć zbyt długo. Ani wydaje się ona nam szczerą, ani godną opłacania. Społeczeństwo francuskie powinno zrozumieć, że tędy droga do porozumienia nie prowadzi.

A i polska opinja publiczna musi poszukać sobie innych koncepcyj. Nie może być podstawą do współżycia wspólna nienawiść do kogoś, jedynie myśl o obronie przed grożącem niebezpieczeństwem. Podstawą do trwałych stosunków musi być wspólna twórczość. Rozwijaliśmy już tę myśl. Wskazywaliśmy, że na obszarze pomiędzy Bałtykiem a Adrjatykiem jest duże pole do wielkiej konstruktywnej pracy. Niestety, snobizm pewnych dyplomatów, złudne nadzieje różnych panów, że przez pokorę wobec Francji, czy jakiejś innej potencji, stworzą potęgę dla swoich, utrudnia nam sytuację. Ale przyszłość jest przed nami — po za tymi, którzy przyjaźnią swą pragną handlować. Przyszłość — to federacja wolnych narodów, dla których Francja będzie mogła stać się przyjaciółką szczerą — ale nie za pieniądze, bo płatnej miłości nie chcemy.

Dobrze, jeżeli to zrozumieją nad Wisłą i nad Sekwaną.

Harcerstwo żeńskie stało się w ostatnich czasach przedmiotem napaści ze strony sfer klerykalnych. Jeżeli część męska tej organizacji jeszcze nosi, zwłaszcza w swym starszym odłamie, pewne cechy, jakie nadać mu usiłowało sokolstwo, zbytniego militaryzmu wraz z szeregiem dziwolągów z zakresu źle pojętej pseudo-dyscypliny — to żeńskie drużyny, jako młodsze są wolne od tych naleciałości i dlatego wszechstronniej zajmują się zagadnieniami życia. Toteż w pewnych jego kołach zostały poddane gruntownej rozwadze normy postępowania, dotąd uznane za nietykalne. Poddano dyskusji sprawę dziecka, sprawę matki „nieślubnej", „świadomego macierzyństwa" itd. To wszystko człowieka żywego interesuje. To wszystko nie może nie obchodzić młodzieży harcerskiej, wchodzącej w życie. Że młodzież ta otwarcie rozważa zaciekawiające ją zagadnienia— świadczy o niej dobrze. A że się to nie podoba pewnym sferom, które wolałyby narzucić młodzieży dogmat innego traktowania życia, to tylko sfery owe od młodzieży oddali. To także bardzo ważne.

Z różnych stron dochodzą nas wieści, że pewne osoby rozszerzają wiadomości o drożyźnie działalności opiekuńczej Sekcji Pomocy Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej, przeciwstawiając mu tanią działalność organów samorządowych. W każdym takim wypadku po dotarciu do źródła, przekonaliśmy się, że ludzie ci nigdy nie zainteresowali się tą działalnością, nigdy jej nie widzieli i sprawozdań Sekcji Pomocy Matce i Dziecku OKPS nie czytali.

Dokładne przestudjowanie budżetów miejskich natomiast wykazało, że w ramach dotychczasowych wydatków Stolicy na opiekę otwartą, to jest za te same pieniądze, można działalność znacznie rozszerzyć zupełnie swobodnie za pomocą metod pracy, jakie stosuje Sekcja Pomocy Matce i Dziecku oraz że praca organów opiekuńczych OKPS nie jest nie tylko droższa, ale nawet tańsza. Oferty w tej mierze zostały zresztą organom miasta przedstawione.

Wskutek tego szerzycielom tego rodzaju wiadomości musimy dobrej woli odmówić w sposób zupełnie bezwzględny.

A SYN SZLACHECKI SIĘ NIE ZLĄKŁ...*)

Wańkowicz sięgnął w swoje lata szczenięce — w owe czasy, gdy na ziemiach wschodnich, w dzisiejszej Kowieńszczyźnie i jeszcze dalej, w Mohylowszczyźnie w zamożnym dworze szlacheckim chowało się chłopię. Chłopię oznaczać ma wiek tylko. Trzeba odsentymentalizować ten rzeczownik bardzo gruntownie. Chował się młokos, dziki, swawolny — chował pośród takich samych jak on „paniczów", co w swej chęci użycia, a raczej wyżycia się byli bezwzględni, bezlitośni, dzicy — ale z tem wszystkiem — dzielni, zaradni, odważni. Ta dzielność — to ich wdzięk. Pozatem życie ich było, powiedzmy sobie tradycyjno - roślinne. Głowy pracowały mało, a i do dziś dnia mało na ten temat pracują. Wspomnienia rysują byt „suwerenów" panów — swobodny i dostatni, a wesoły. Powiadają, że wszystko wokoło na ten byt się godziło, uważało to za rzecz naturalną. Naturalną rzeczą było dostać w pysk od dziedzica, naturalną rzeczą było, gdy dziedzic „poprawia rasę na wsi!" Krzywdy nikt nie czuł — zwłaszcza jeżeli dziedzic był w gruncie rzeczy dobry człowiek i kiedy trzeba — przyszedł z monarszą pomocą, opatrzył, dał temu łączkę, tamtemu pólko albo cielaka. Porządek rzeczy wżera się w krew — jest jak powietrze, którem się oddycha, którego przecież się nie spostrzega. Aż oto w tej atmosferze pod wpływem wojny podmuchów powstała nowa prawda. Wańkowicz widzi ich dwie. Jedna amarantowa, ułańska, wyrosła z tych dworów, a druga łapciowa, chłopska. Ta łapciowa zalała dawną rzeczywistość i dawny rzeczy porządek, który waląc się — Wańkowicz tego nie skrywa — w ostatniem drgnieniu wzywa na pomoc dragonów rosyjskich jeszcze niezbuntowanych. Potem jeszcze go będą bronić ułani polscy i znów Wańkowicz jest straszliwie szczery — sieka do krwi chłopów rabujących—nadaremnie. Nie uratują nic. Przeszedł, przeminął, jak zły czy dobry sen okres dworów „suwerennych".

Wyrywa się czasem pod jego adresem westchnienie. wydziera się wyznanie miłosne. Ale to nic nie pomoże, bo idzie coś nowego. I Wańkowicza stać na uznanie tego, stać na zrozumienie, na zburzonych w najbardziej barbarzyński sposób ruinach — może westchnie, ale nie będzie przeklinać. (Sceny rabunku dworu z całą jego nieprawdopodobną żywiołowością, jakąś bezmyślną dobrotliwością przeprowadzone, uchwycone są poprostu znakomicie). Jakże dalekie to jest od owego rozsentymentalizowania się na temat wszelkich „Burz od wschodu", w której poza przerażeniem jest tylko gwałtowne pragnienie wybielenia tego, co koniec końców było tylko... dawną formą życia.

Nie będziemy się rozwodzili nad „Szczenięcemi latami", choć może należałoby się im więcej nieco uwagi właśnie ze stanowiska społecznego. Zatrzymujemy się na nich dla zajrzenia w oczy Autorowi, który zaraz nam opowie coś... bardziej aktualnego. Dowiedzieliśmy się wiele. To człowiek wielkiej kultury książkowej. To człowiek, który zna świat szeroki — zna ziemię pod różnemi szerokościami i długościami geograficznemi. To człowiek, który doskonale może się czuć w karczmie i w salonie i będzie gadał z każdym jego własnym językiem, tak samo ze złodziejaszkiem i z dyplomatą. Skalę porównań ma ogromną.

To człowiek, ponadto—taki właśnie z lat szczenięcych wyziera—który chce żyć i umie o swoje życie walczyć. Jest mocny — pięść ma twardą. I patrzy dla tego w świat, jako ten, co światu ma coś do wydarcia. Taką ma pogardę do wszelkiego rodzaju złudzeń — bo złudzenie może sparaliżować cios, który trzeba zadać — może narazić na klęskę — życiową.

Złudzeniem żyły dwory i runęły i już ich niema. Nauka: patrzeć wypadkom prosto w oczy — zrozumieć je do głębi i zachować dystans — gotowość. Sentyment — to zupełnie inna sprawa. Sentyment wszakże nie może być zawadą.

Taki to człowiek wyruszył do kraju Sowietów, aby się przyjrzeć, co przeszła ta „łapciowa prawda", która zburzyła siedzibę jego szczenięcych lat. Owocem tej podróży była pewna ilość felietonów w różnych pismach. Nie wszystkie weszły w skład „Opierzonej rewolucji". Autor uznał widocznie, że całość zamkniętą tworzy tylko pewna ich część. Może słusznie, choć żal niektórych. Na jeden z nich, właśnie ten, który zamyka spostrzeżenia, pt. „Błędy baralityczne" w swoim czasie zwracaliśmy uwagę na tych łamach.

*) **Melchjor Wańkowicz:** „Opierzona rewolucja", str. 229. Warszawa 1934. Two Wydawnicze „Rój".
Melchjor Wańkowicz: „Szczenięce lata", Warszawa 1934, str. 239. T-wo Wydawnicze „Rój".

Autor, jak powiedzieliśmy, zna życie — zna o tyle, że doskonale rozumie, iż nic można ocenić żadnego jego objawu bez życzliwości. „Bez miłości nawet nóg liszki nie policzysz“ powiedział kiedyś Arjos Świętochowskiego. A o tę życzliwość mu nie trudno. Rosja — Rosja naogół jest przez Polaków kochana. To nie przypadkowo tak porusza publiczność naszą romans cygański, nie przypadkowo bynajmniej „Wołga, Wołga“ wywołuje oklaski powszechne. Wschód ma coś pociągającego. Z Rosją związana jest młodość bardzo wielu Polaków. Obce jest to uczucie Poznańczykowi, choć i ten nieraz zwracał oczy ku Słowiańszczyźnie, mniej obce dla Krakowiaka lub Lwowianina, ale Warszawa ma ogromną sympatję do Rosji — mają ją i Kresy. Jest i jeszcze jeden powód, dla którego każdy człowiek musi z pewną życzliwością spoglądać na Wschód— to rozmach — szalony rozmach, z którym zabrał się on do pracy. Jest jeszcze jeden — ten już tylko negatywny: oto świadomość, że ustrój, w którym żyjemy, jest przeżarty przez toksyny, które sam wytwarza w coraz większej ilości, że niema nadziei na wyleczenie go, że trzeba go zmienić zupełnie gruntownie, że życie go samo zmienia. W człowieku żywym powstaje pragnienie odnalezienia wzorów, na których należy coś nowego budować.

W takim nastroju wyjechał Autor do Rosji. I szukał—człowieka, szukał, w jaki sposób załamuje się przewrót w duszy ludzkiej. Może niezbyt szeroko pod względem terytorjum wziął życie — bo nie miał czasu na przejrzenie wszystkich, ba nawet najważniejszych ośrodków, ale umiał przeniknąć je pionowo, w głąb. Od dyplomaty do prostytutki, wymierającego już w Rosji typu — od salonu dla cudzoziemców i teatru — do tramwaju i ogonka żywnościowego.

I stwierdza Wańkowicz, że przewrót rosyjski, że ustrój komunistyczny, czy jak go tam nazwać naprawdę — dotarł do duszy ludzkiej i umiał z niej wydobyć pierwiastki entuzjazmu doskonalej, niż jakikolwiek ustrój w Europie Zachodniej, łącznie z Polską. Tak jest pomimo wszystkich niedociągnięć, pomimo wszelkiego rodzaju błędów, pomimo bałwochwalstwa, jakie rozgrywa się przy grobowcu Lenina (miljon volt „Hospodi Pomiłuj“), pomimo wszystko. Postawiono tam na człowieka i tego człowieka zdobyto, dla pochodu, dla startu od normy wielbłądziej — naprzód, ku samolotowej.

Autor nieraz podejrzliwie zajrzy pod podszewkę tego wszystkiego, nie raz z dużym sceptycyzmem oceni „zdobycze“, podkreśli złudzenie tych, co myśląc, że nowe drogi odkryli, wloką się szlakami, narzuconemi przez przeszłość.

A w końcowym rozdziale znajdujemy i materjalne podstawy powodzenia.

Książka Wańkowicza jest bardzo interesująca.

W tej chwili jeszcze jedno dodamy. Oto niejednokrotnie czytając Wańkowicza miałem wrażenie, że coś tego Pisarza krępuje, że ten ptak ma czemś pozlepiane skrzydła. Maskuje to brawurowym atakiem tematu, bezwzględnością wyrazu, ostrością wyrazu, ostrością środków ekspresji. A przecież coś go trzyma. Otóż tu zajaśniał talent Wańkowicza w całej pełni. Swoboda spojrzenia, wolność oceny, niezależność sądu i rozmach stylu doskonale harmonizują i dają nam obraz jakoby odmłodzonego Autora, który jest w pełni formy.

Ku tężyźnie lat szczenięcych zwracały się jego oczy patrząc w lata szczenięce. Ta tężyzna sprawiła, że patrząc w „prawdę łapciową“ syn szlachecki się nie zląkł i gotów jest z niej brać — ale tylko to, co w niej istotnie jest prawdą bez cudzysłowów.

A. Uziembło.

A WIĘC DYSKUSJA

Oświadczenie p. Ministra Jerzego Paciorkowskiego zapewniło nas, że po pierwsze nie zamierza on uszczuplić praw ubezpieczonych, po drugie nie leży w planie Ministerstwa Opieki Społecznej narzucenie społeczeństwu nowych form ubezpieczeń nagle bez porozumienia się z zainteresowanemi sferami, bez przeprowadzenia na ten temat wyczerpującej dyskusji.

A więc droga do dyskusji otwarta. Zainteresowani już obecnie mają możność wypowiadania się i są obowiązani zebrać materjał odpowiedni do należytej oceny sprawy. Dyskusja też się rozpoczęła. A nie bez znaczenia dla niej są w tej chwili i pewne wieści ze zjazdu przeciwgruźliczego. Pozwolimy sobie zwrócić uwagę czytelnika na jedną. Oto, jakkolwiek pod względem środków walki z gruźlicą pozostajemy na szarym końcu, jakkolwiek ilość ich jest mocno niewystarczająca, przecież środki te, w postaci łóżek w szpitalach i sanatorjach nie są wyzyskane. Znaczna ich część próżnuje. Dlaczego? Odpowiedź prosta: chorzy nie mają za co się leczyć.

Otóż właśnie wtedy, gdy jest jeszcze bardzo wiele miejsc wolnych w naszych lecznicach i sanatorjach, Kasy Chorych wznosiły własne szpitale i własne sanatorja — zamiast wyzyskać istniejące. Jak wznosiły? A w ten sposób, że amortyzacja jednego łóżka kosztuje do 28 zł. dziennie.

Byłoby pół biedy, gdyby za wznoszenie takiego zakładu można było kogoś pociągnąć do odpowiedzialności, powiedzieć, że sprawiła to zła wola, że mieliśmy do czynienia z jaskrawem nadużyciem, sprzeniewierzeniem, kradzieżą. Wtedy usunięcie jednostek złej woli mogłoby rzecz naprawić. Tu było coś znacznie niebezpieczniejszego — nieudolność. Na to znacznie trudniej znaleźć radę, gdyż niema żadnej rękojmi, że po usunięciu jednego nieumiejętnego człowieka nie przyjdzie inny, jeszcze gorszy. I bodaj że w wielu wypadkach tak było. Komisarze, którzy zajęli miejsce zarządów, w dużej ilości nie usprawiedliwi pokładanych w nich nadziei.

A przecież — różni ludzie u nas umieją gospodarować. Były i są doskonałe i tanie lecznice i sanatorja. Przemysł farmaceutyczny umie produkować i kalkulować. Lekarze umieją leczyć, leczą nieraz bardzo tanio, zwłaszcza dziś. A wszystko to jakoś wypada bardzo drogo w ubezpieczalniach i jest złe, niedostateczne i dokuczliwe.

Otóż właśnie i chodzi o to, byśmy przestali mieszać dwuch rzeczy — ubezpieczenia i lecznictwa. Te rzeczy — twierdzimy — nic wspólnego

nie mają ze sobą. Ubezpieczenie nie jest powołane do tego, by leczyć, ale do tego, aby dać środki na leczenie.

I tu jest odpowiedź na pytanie, czy rządzić ma w ubezpieczalniach zdrowia lekarz, czy ubezpieczeniowiec. Rzecz jasna, że tylko ubezpieczeniowiec. Jego zadaniem jst wykalkulować wysokość stawki, wysokość możliwych i koniecznych świadczeń. Jego zadaniem jest pobrać składki, ulokować je i wypłacić należność w razie choroby. Jego zadaniem jest ustalić tryb wypłacania — to jest, co się doręcza samemu choremu, co ma się dać w ręce lekarza, co wypłacić szpitalowi, czy sanatorjum, czy aptece, w jaki sposób i w jakich ratach następują te wypłaty. To wszystko należy do ubezpieczeniowca i nic tu lekarz nie ma do gadania.

Rzecz jasna, że ubezpieczeniowiec potrzebuje w chwili rozpoczęcia świadczeń eksperta, który postawi djagnozę i nakreśli plan leczenia. Kto ma być tym ekspertem? Czy ma nim być jeden lekarz, specjalnie do tego powołany, czy też wszyscy lekarze w danem mieście, czy wybrani z pośród nich, którzy będą za to pobierać honorarjum odpowiednie? W jaki sposób zorganizowana zostanie kontrola nad działalnością lekarzy, by nieodpowiedzialne jednostki nie wchodziły w zmowę z ubezpieczonymi celem wyzyskiwania ubezpieczalni — to jest sprawa szczegółów, nad któremi nie będziemy się zastanawiać. Istnieje na świecie dość znaczna ilość prywatnych ubezpieczalni zdrowia, które jakoś zdołały te zagadnienia rozstrzygnąć ku zadowoleniu klijenteli i zachowaniu interesów przedsiębiorstwa.

Lekarz, apteka, sanatorjum, lecznica, pogotowie ratunkowe — wszystko to są czynności bynajmniej nie ubezpieczeń, ale samego leczenia. Oni dostarczają swojej pracy, swojego towaru, swojej organizacji całej ludności. Do nich się zwraca człowiek leczący się na koszt własny, i posiadający prawo ubezpieczenia we własnej instytucji i w prywatnej ubezpieczalni. Do nich się zwraca każdy i każdemu za pewną opłatą udzielane są świadczenia stosownie do potrzeb i do — środków.

Całe kasochorstwo, które dziś niesłychanym ciężarem sugestji spoczęło na dyskusji, wynikło z zupełnie fałszywych założeń, że niefachowa instytucja „społeczna" potrafi obronić się przed wyzyskiem. Ludzie zupełnie nieświadomi rzeczy słuchali z oburzeniem, jak ogromna rozpiętość cen istnieje pomiędzy kosztem własnym lekarstwa, a jego ceną apteczną, dowiadywali się, że płatny miesięcznie lekarz udzielać może porady za jakieś grosze, kiedy w swoim gabinecie pobiera dziesiątki złotych. Ci niefachowi ludzie nie spróbowali nawet zakontraktować na stałe hurtowego odbioru lekarstw, ani stałych porad lekarskich. Nie nawiązali stosunków — choćby z tak doświadczoną instytucją, jak pogotowie ratunkowe w Warszawie— tylko odrazu rzucili się do stworzenia własnych placówek. Gospodarczo wypadł prawdziwy skandal — gdyż obok wspaniale urządzonych laboratorjów chemicznych powstały liche warsztaty kas chorych. Najlepsi fachowcy tracili pracę, a dostawały je różne wybiórki pod płaszczykiem "społeczności". Co wynikło ze stanowiska oszczędnościowego — nigdy się nie dowiemy, gdyż instytucja „społeczna" umie doskonale ukrywać przeróżne koszta ogólne, umie przenosić je w sposób zupełnie nieograniczony z jednej pozycji na drugą i tylko niebywały poprostu stosunek płac administracyjnych do rzeczywistych świadczeń stwierdza, że coś tu było nie w porządku.

Zły wniosek wyciągnąłby ten, ktoby chciał nam imputować całkowite usunięcie zagadnienia lecznictwa społecznego, ktoby pragnął nas uczynić zwolennikami odsunięcia lekarzy od organizacji tego lecznictwa. Bynajmniej do tego nie dążymy. Naszem zdaniem przecież jest, że Ubezpieczalnie nie są odpowiednim terenem dla tego lecznictwa. Ubezpieczalnia właśnie po to istnieje, żeby zapewnić rentowność pracy lekarskiej, by lekarz nie potrzebował dawać swej pracy darmo. Gdyby lekarz czy aptekarz traktowali swą pracę jako darmową — ubezpieczalnie byłyby niepotrzebne.

Terenem odpowiednim dla lecznictwa społecznego, dla dotarcia pracy lekarskiej tam, gdzie jej się opłacić nie może, jest samorząd, samorząd terytorjalny, a kto wie, czy w przyszłości nie powstanie i samorząd zdrowotny, tak jak dziś próbuje się stworzyć samorząd szkolny. Tam to jest miejsce na uświadomienie szerokich warstw społeczeństwa o istocie choroby, o zagadnieniach higjeny, o sprawie profilaktyki. Tam jest odpowiednie miejsce na czynienie zadość istniejącym potrzebom lecznicym, tworzenie odpowiedniej sieci przychodni, ośrodków, lecznic — tam jest niezbędne baczenie, czy istniejące instytucje prywatne wystarczają, czy też należy je uzupełnić przez powoływanie do życia nowych zakładów. Z tych też zakładów będą korzystać i ubezpieczeni i stałością swych wpłat zapewniać im gospodarczą trwałość i samoopłacalność. Tam też jest miejsce lekarza, który będzie organizatorem i gospodarzem nieograniczonym przez żadne czynniki zupełnie obce jego pracy, nie mające z nią nic wspólnego.

Dyskusja o reformie ubezpieczeń społecznych winna wyzwolić się od kasochorskiej sugestji, narzuconej nam przez najfatalniejszą praktykę przeszłości — powinna pójść po linji szukania zupełnie zasadniczych zmian.

Ustawa scaleniowa chybiła celu — to rozumie już każdy. Ale jeżeli doprowadziła ona do scalenia ubezpieczeń społecznych — to uczyniła krok naprzód. I od tego nie należy się cofać. Nie trzeba wraz z mydlinami wylewać dziecka.

Jeżeli postawimy w ten sposób sprawę—jasna rzecz, że najwięcej zadrażnień budząca sprawa stosunku lekarzy i ubezpieczeniowców upadnie zupełnie. Lekarz zostanie ogranizatorem lecznictwa, któremu ubezpieczalnie dostarczą środków. Upadnie sprawa jakiejkolwiek zależności, upadnie zagadnienie uprzywilejowania tej lub innej pracy.

Upadnie też i zagadnienie inne, sprawa tak zwanego samorządu ubezpieczalnianego, gdyż organy społeczne, samorządowe, skoro tylko zostaną pozbawione wpływu na samo leczenie, w sprawach gospodarki uproszczonej będą mogły doskonale się orjentować i świetnie wypełniać rolę — oczywiście w ramach ściśle określonych przepisów.

S. Surzyński

P. S.

„Kurjer Poranny" ma niewątpliwą zasługę, że otworzył swe łamy dla wyczerpującej dyskusji na

ten temat. Dyskuja oczywiście obraca się przedewszystkiem około zagadnienia leczniczego, gdyż właśnie z niem najwięcej szeroka publiczność ma do czynienia. Wśród wybitnych, bardzo wybitnych nawet fachowców zabrał głos między innymi i dr. Henryk Wilczyński w obronie instytucji lekarza domowego. Otóż, jeżeli z najwyższem zainteresowaniem czytaliśmy jego uwagi na temat systemu leczenia — to naprawdę głos ten może być przykładem, jak daleko stoi lekarz od spraw ubezpieczeniowych i jak gruntownie nie zdaje sobie sprawy z ich istoty.

Spróbujmy tylko przeczytać:

„W roku 1928/29 ubezpieczonych pracujących było 2.225.000. Dziś w roku 1934 mamy już tylko 1.500.000 i to o wiele gorzej wynagradzanych. Bo wpływy za chorobowe ubezpieczenia wynosiły wówczas 307 miljonów — obecnie 100 miljonów. W tem miejscu czytelnik — pracodawca szczególnie — niech się zastanowi głęboko i zbada bezstronnie, czy można użyć wyrazu przerost, jeśli tych 100.000.000 ma starczyć na 150 miljonów ubezpieczonych i jeszcze 165.000.000 ubezpieczonych członków rodzin, czyli razem dla przeszło 3 miljonów rodzin... I tylko dla tego, że panuje zastój gospodarczy, nie łatwo składkę powiększyć, a trzeba szukać pomniejszenia wydatków..."

Dr. Wilczyński bez najmniejszych skrupułów oblicza, ile w danym roku wypada na miesiąc i osobę i — decyduje, że właśnie tyle można wydać — na więcej nie starczy.

I na tyle nawet nie starczy. Jeżeli się stworzy pewien system administracji, sztywny, to będzie on zjadał procentowo więcej w roku gorszym, niż w latach lepszych, powiemy nawiasowo. Jeżeli się stworzy system leczniczy, również sztywny, to będzie on jeżeli nie w świadczeniach, to w utrzymaniu budynków, warsztatów, itd. zjadał znów procentowo więcej, niż w latach dobrych. Ale nie o to chodzi. Ubezpieczenie społeczne nie może uzależniać swych świadczeń od lat złych i lepszych. Ubezpieczenie jest właśnie od tego, by wyrównać warunki. Do tego celu służy jego powszechność. Dla tego tak skrupulatnie musi być obliczony przepis składek, że muszą one wytworzyć w latach tłustych rezerwę na lata chude. Czysto ubezpieczeniowa administracja, nie zajmująca się ani komisjami budowlanemi, ani zakładami, ani fabryczkami, dostosowana jedynie do pracy ubezpieczeniowej, jest dość elastyczna, by kurczyć się i rozszerzać w miarę mniejszych lub większych obrotów — a tak, jak każdy aparat bankowy. Lata gorsze pod względem wpływów dadzą jej nadto oszczędności wskutek potanienia różnych świadczeń, które się kupuje. Ale nie wolno regulować tych świadczeń stosownie do wpływów. Żadna prywatna instytucja by na to sobie nie pozwoliła, gdyż miałaby natychmiast wytoczony proces, którego wynik byłby z góry przesądzony. Żadna też nie ośmieliłaby się żądać podwyższenia składek. Gospodarować trzeba w ubezpieczalni jak w ubezpieczalni i nie inaczej.

I naprawdę lepiejbyśmy zrobili opierając się w naszej dyskusji o praktykę prywatnych ubezpieczalni, które wytrzymały próbę życia, niż kas chorych, które nie tylko u nas, bo na całym świecie są przedmiotem gwałtownej krytyki ze strony najbardziej zainteresowanych bo samych ubezpieczonych, ale o których my słyszymy głosy tylko ich zarządów.

Na niższym poziomie

Poziom naszego życia istotnie poczyna się dość nisko „stabilizować". Płace lekarzy w Ubezpieczalniach społecznych, o ile zastosuje się do nich nowe wytyczne, osiągną poziom 1 zł. za godzinę. Przeciętnie lekarz będzie więc pobierał za dwie godziny pracy dziennie około 50 zł. miesięcznie. To inna sprawa, że rzadko który lekarz może wypełnić wszystko, co do niego należy, w ciągu tych dwóch godzin i — rzadko któremu płaci się za dodatkową pracę, której nie wykonać nie może.

Nauczyciel szkoły średniej w pewnych szkołach prywatnych — w stolicy za dwadzieścia godzin pracy tygodniowo ma dostawać na rękę około 120 zł. To jakoby stanowi półtora złotego za godzinę pracy. Jeżeli jednak dodamy poprawianie zeszytów, sprawy wychowawcze, konferencje itp.— to nie przesadzimy, że nadliczbowe godziny, nieobjęte podziałem godzin, wzrosną do 40 na tydzień, a wtedy godzina pracy nauczycielskiej oceniona zostanie na 75 gr. W niektórych szkołach zresztą uznano i to za zbyt wysoką gażę i proponują już 30 zł. miesięcznie. To nie kiepski dowcip — ale prawda!

Sytuacja szkół jest naprawdę ciężka.

Nie znamy ich budżetów, ale wiemy, z czego się te szkoły utrzymują. Oczywiście z opłat wnoszonych przez rodziców. A teraz drugie pytanie: jak ci rodzice płacą? I trzecie wreszcie — jak tym rodzicom płacą? Przecie pracownicy, pobierający dziś pensje na pierwszego każdego miesiąca (poza urzędnikami, których dzieci chodzą do szkół państwowych), należą do wyjątków, a zaległości cztero i pięcio - miesięczne nie należą do wyjątków. Oto teraz mamy dopiero pojęcie o dochodach szkoły, zgęszczone o niedbalstwo, niesumienność i niepunktualność, rozpowszechnioną u nas — nadmiernie.

To prawda. Lecz do wytłumaczenia sobie takich płac nauczycielskich jeszcze należy wziąć pod uwagę moment — spekulacji szkolnej. Z trudnościami, któreśmy wymienili, walczą najzdrowsze, najlepiej zorganizowane nawet uczelnie. I trzeba oddać honor tym, które walczą skutecznie. Te wszystkie okoliczności natomiast wyzyskuje cały szereg przedsiębiorstw szkolnych, mających na celu — spekulację. Bo są takie. Przekonało nas o tem kilka głośnych procesów.

I, jeżeli znany publicysta „Kurjera Porannego", podpisujący się *amu*, wzywa Kuratorjum do interwencji — to trzeba mu przyznać najzupełniejszą rację. Nie prokurator, ani policja winny wpro-

wadzać porządek na tem polu — ale kuratorjum. Budżety szkolne według przepisów istniejących podlegają kontroli. I przepisy nie są poto, by zostawały na papierze. Kuratorjum musi wiedzieć, czy szkoła jest prowadzona uczciwie, sumiennie i umiejętnie — czy też w sposób niedołężny, a nieumiejętny: czy jest placówką oświaty, czy oszustwa. Nie można dopuszczać do tego, by na barkach naszego szkolnictwa żerowały conajmniej podejrzane jednostki. Przecież, koniec końców tu chodzi nie tylko o wyzysk nauczycieli, ale o wychowanie młodzieży.

Dziś szkół państwowych jest ilość niewystarczająca. Uzupełniać te luki musi szkolnictwo prywatne i uzupełnia. Niejedna szkoła prywatna wypełnia swe zadania równie dobrze, jak i państwowa — czasem i lepiej niż państwowa. Szkoły te mogą się rozwijać zupełnie dobrze — mogą w razie braku miejsc tworzyć oddziały równoległe, mogą rozszerzać swą pracę. Przez powiększenie jej zakresu mogą pomniejszać koszty administracji, koszty niezbędnych urządzeń — a może zczasem obniżać więc i wpisowe. Szkoły te zawsze posiadają komisje stypendjalne, przyznające szereg ulg, aż do całkowitego zwolnienia od opłaty. Rozwój tych szkół leży w interesie społeczeństwa. Źle jest, że tego rodzaju zakładom wytwarza się konkurencję ze strony kramików, które nęcą tanością, zwabiają przy pomocy reklamy i ostatecznie uczą tak, że zaledwie trzecia część abiturjentów przechodzi zwycięsko próbę matury.

Tak jest. Musi być probierz moralny dla tych, którzy chcą szkołę otworzyć — ale musi być również i probierz administracyjny. Przedsiębiorca winien posiadać nie tylko stopień naukowy, ale i kapitał. O ile tego kapitału nie ma — nie jest przedsiębiorcą i prawo do prowadzenia przedsiębiorstwa winno mu być odebrane. A jeżeli nauczycieli grupa, nauczycieli wykwalifikowanych i odpowiednio przygotowanych chce stworzyć warsztat pracy i gotowa jest zaryzykować swe zarobki, aby mieć własną placówkę — to niepotrzebnie się kryją pod płaszczyk przedsiębiorcy. Droga spółdzielczości jest dla każdego otwarta.

W dziedzinie szkolnictwa, powtarzamy, musi być wytępiona spekulacja — wytępiona gruntownie. A należy to do kuratorjów.

E. Iwanicki

Na najcięższym posterunku

Nie raz, nie dwa razy wypadało nam wspominać o ludności, o blisko 20 tysięcznej rzeszy bezdomnych, umieszczonych w barakach. Zawsze przypuszczano, że skupiska te, skupiska największej nędzy i idącej wślad za nią deprawacji psychicznej są czemś przejściowem, stanowią jakieś prowizorjum. „Zbudzi się ruch budowlany, nastąpi ożywienie" i jakoweś siły zewnętrzne zlikwidują je. Ale prowizorjum to trwa lata — a jeżeli dalej tak pójdzie, to pomimo protestów z bardzo wielu stron zgłaszanych trwać będzie — niewiadomo, jak długo. Lata całe siedzą tu rodziny i gromady całe, a ilość ich rośnie z roku na rok. Rodzą się dzieci barakowe — pokolenie nowe przenika w szkoły...

Wśród tych to ludzi, żyjących w atmosferze nie tylko nędzy ostatecznej, ale trwającej lata, jakeśmy to rzekli, tymczasowości, która przechodzi w zupełną beznadziejność, pracuje „Osiedle". Zajęło ono zaiste najcięższy posterunek pracy społecznej, najcięższy i najniewdzięczniejszy. Trzeba tu bezustanku podtrzymywać nieomal roślinne życie człowieka, któremu jeżeli bodaj przez chwilę lepiej się powiedzie — to ucieknie. Trzeba tu pracować wśród żywiołu zawsze (i słusznie) niezadowolonego, żywiołu zdemoralizowanego i do najwyższego stopnia niezaradnego. Trzeba pracować wobec braku środków, wobec skąpo wydzielanych na ten cel funduszów. Trzeba łatać najpilniejsze potrzeby, rezygnując nieraz dla nich z planu. A ten plan przecież trzeba przeprowadzić!

I pomimo niesłychanych trudności przeprowadza się. Przeprowadza drogą tworzenia świetlic, organizowania bibljotek i kursów dla starszych. Tworzenia kolonij i półkolonij, świetlic i szeregu innych instytucyj — dla dzieci. Boć o nie przedewszystkiem chodzi. Z natury rzeczy praca nad dzieckiem ujęta została w najbardziej systematycznie ułożone ramy. Tu rozwinięto szereg logicznie powiązanych ze sobą placówek — jak: Opieka nad przyszłą matką, krople mleka, poradnie higjeniczne, przychodnie lekarskie, przedszkola — wszystko to ujęte zostało w system, w którym uwzględniona została i sprawa odżywienia, materjalna, fizyczna, i — wychowawczo - moralna.

Nie chcemy przeciążać tych uwag cyframi, ale jeżeli powiemy, że świetlice dla dorosłych „Osiedla" odwiedzane były zwyż 30 tys. razy, że wypożyczono 52 tysiące razy książki, że 70-ro dzieci uczęszczało do przedszkola, że bezrobotnym rozdano 950 działek gruntów, z których zebrali oni przeszło sześćkroć sto tysięcy kg. jarzyn i ziemniaków, że w żłobkach Osiedla przebywało 350 dzieci, na kolonję w Otwocku wysłano przeszło tysiąc dzieci, na półkolonje około 400 i kilkadziesiąt na kolonje harcerskie — to bez podawania miljonowych cyfr obiadów będziemy mieli do czynienia z pracą kolosalną, przed którą czołem uderzyć wypada.

Pod adresem społeczeństwa należy wyrazić żal, że Instytucji tej nie popiera w tym stopniu, w jakimby się tego można było spodziewać, że robota wskutek tego opierać się musi przedewszystkiem na subsydjach.

Jeżeli chodzi o sprawozdanie samo — jest ono zestawione sumiennie i poważnie. Sekcja Kolonij i Półkolonij opracowana w niem jest zupełnie słusznie najszerzej. Ale nie możemy się powstrzymać od uwagi, że wolelibyśmy mieć sprawozdanie obszerniejsze i bardziej wyczerpujące.

To które mamy przed oczyma czyni zadość wszystkim wymaganiom kontroli i więcej niż uzasadnia potrzebę pracy. Ale sprawozdanie tak wielkiej i tak dobrze zorganizowanej instytucji powinno być czemś jeszcze więcej. Powinno ono nauczać, zestawiać doświadczenia, oświetlać skutki prowadzonej roboty. W „Osiedlu" nie brak ani talentów ani piór pierwszorzędnych, ani przedstawicieli prawdziwej wiedzy teoretycznej. Winni oni się podzielić bodaj swemi spostrzeżeniami, niewątpliwie bardzo cennemi, które stałyby się niewyczerpanem źródłem dla pracowników społecznych nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Spodziewać się też po nich należy, że w szeregu studjów zechcą

nas zapoznać z terenem swej pracy, który znamy dotąd z reportaży i feljetonów — to znaczy zbyt powierzchownie, aby w całej doniosłości ocenić.

„Osiedle" i jego praca powinna też zainteresować nieco naszych naukowców, którzyby tu niewątpliwie znaleźli kopalnię pierwszorzędnych doświadczeń.

Higjena a bezpieczeństwo

W dążeniach do zapobiegania wypadkom w przemyśle uciekamy się do ulepszania maszyn, ochrony ich, szkolenia robotników, słowem — brano pod uwagę czynniki zewnętrzne. Powstaje pytanie, czy robotnik nie przynosi z sobą pewnej predyspozycji fizycznej lub nerwowej, która umniejsza jego bezpieczeństwo.

Kwestja psychicznego stanu danego robotnika była już poruszana, zwłaszcza w związku z czasem pracy. Różni autorzy wskazywali nawet dni i godziny, w których zdarza się największa liczba wypadków. Dużo zrobiły w tej dziedzinie poradnie psychotechniczne, wykazując zdolność przystosowania danego organizmu do owej pracy. Dotychczas jednak lekarz i higjenista niewiele mają do powiedzenia w przemyśle.

A przecież cały szereg chorób, które bynajmniej nie wykluczają pracy zarobkowej, przecież wytwarzają niebezpieczeństwo w wielu bardzo wypadkach. Oto np.:

Choroba systemu nerwowego, która nie pociąga niezdolności do pracy, to przedewszystkiem epilepsja. Wojna wprowadziła do przemysłu wielu epileptyków: praca ich odbywa się często w warunkach, które w razie ataku mogą być dla nich groźne. Należy ustawowo ustalić, w jakich warunkach wolno zatrudniać epileptyków.

Organiczne choroby wzroku i słuchu mogą się stać przyczyną wypadków; głuchota może spowodować niebezpieczeństwo wypadku, zwłaszcza w pracach przy transportach, komunikacji, dźwigach i t. p. Krótkowzroczność — już w skali o 3—4 dioptrji — jest także czynnikiem sprzyjającym wypadkom. Szkła nie usuwają tego niebezpieczeństwa, gdyż w niektórych przemysłach utrudniają one tylko wykonywanie prac.

Choroby gruczołu tarczykowego, struma wywierają wpływ przedewszystkiem miejscowy, aż do anginy pectoris, pociągając za sobą niebezpieczeństwo łatwiejszego narażenia się na wypadek.

Skłonność do otyłości i sama otyłość przeszkadza w sprawnej obsłudze maszyn: niemożność wykonywania szybkich poruszeń może spowodować wypadek. Otyłych należy wykluczać z wszelkich niebezpiecznych prac przy maszynach, oraz z produkcji chemikaljów, przy których powstają trujące gazy, ponieważ nietylko serce, lecz także i płuca gorzej pracują, a przez to samo noszenie masek ochronnych jest utrudnione. Daleko posunięte zwapnienie naczyń jest szczególnie niebezpieczne przy obsłudze maszyn. W czasie najbardziej intensywnej pracy hypertonia (nadciśnienie) może spowodować zamroczenie świadomości. Z innych względów niebezpieczne są:

Anomalje kończyn, nawet w lekkim stopniu i zmiany artretyczne stawów, schorzenia płuc, nawet w lekkim stopniu, skłonność do bronchitów, rozedma płuc.

Dzisiejsze warunki gospodarcze, atmosfera troski i niepokoju, wytężonych wysiłków w pracy przyczyniają się do wszelakich chorób na tle nerwowem. Powodem wielu wypadków w przemyśle jest nie brak uwagi i skupienia, lecz wyczerpanie nerwowe. Na system nerwowy robotnika, oprócz wymienionych czynników, wpływa także charakter samej pracy. Monotonja czynności, szczególnie zajęcia przy taśmie płynnej stwarzają bardzo często stan nerwowej senności. Praca akordowa, stosowana w wielu przedsiębiorstwach, doprowadza, poprzez wysiłek nadmierny i napięcie nerwowe ,do wyczerpania nerwowego; wśród robotników w przemyśle widzimy duży odsetek neurasteników.

Szczególną uwagę należałoby zwrócić na choroby kobiece. Kompleks syptomów histerji był już wielokrotnie omawiany. Budowa ciała kobiety wymaga zupełnie odrębnego stosunku. Menstruacja, stwarzając przejściową niezdolność do pracy, przy równoczesnym obowiązku jej wykonywania, przyczynia się do zmniejszenia odporności. Okres ciąży, który ma ogromny wpływ na cały organizm, w pierwszych miesiącach nie jest powodem wystarczającym do zwalniania, a przecie sprzyja wypadkom, spowodowanym chociażby przez brak należytego skupienia.

Zagadnienie predyspozycji organicznej, istniejącej w każdym prawie robotniku, powinno zainteresować czynniki powołane i rozszerzyć ingerencję lekarzy higjenistów w te sprawy.

O szosach i tasiemkach

Wertujemy stare dzienniki i przeglądamy wiadomości miejskie. Pod którąś datą znajdujemy notatkę: Odbyła się uroczystość poświęcenia... pijalni mleka. W uroczystości wzięli udział. . następuje wyliczenie całego szeregu dygnitarzy miejskich, przedstawicieli rządu, społeczeństwa... Zebrani tłoczyli się w jakimś westibulu, bowiem przejście do dalszych sal przegradzała jakaś tasiemka, rozwieszona po to specjalnie, by — zagrodzić drogę — i żeby koniec końców jakiś człowiek mocno uhonorowany, wziął nożyczki i — przeciął ją. Dla wypełnienia tego zadania sprowadza się ową wysoko postawioną osobistość, a wszyscy zebrani muszą udawać, że interesują się tą czynnością i podziwiają, uważają ją za doniosłą. Na ten temat trzeba koniecznie wygłosić mowę, wysławiać inicjatywę, która doprowadziła do otwarcia pijalni mleka, a potem zwiedzić — najzwyklejszą zresztą w świecie kawiarenkę. Cały szereg przedstawicieli Rządu, samorządu, jakichś instytucyj, prasy ogląda, jak się myje garnki, wypróbowuje krzesła i z całą powagą rozważa stosunek pijalni do zagadnień ekonomicznych i politycznych. Potem wszyscy zabrali się do jedzenia i picia (oczywiście nie mleka) — no i pijalnia ruszyła.

Pijalnia to bagatela. Ot, kiedy otwiera się jakiś kilometr nowej linji tramwajowej, — albo pół szosek nieregularną kostką wyłożony, wtedy ceremonja jeszcze staje się bardziej złożona. Bo tu

już trzeba, aby dygnitarz nie tylko poprzecinał owe tasiemki, czy sznurki. Musi on samochodem albo tramwajem wraz z wieloma innymi dygnitarzami jechać, aż do samego końca linji komunikacyjnej tam właśnie, gdzie niema absolutnie nic do załatwienia. Przytem wypowiedzieć jeszcze dłuższą mowę i zjeść więcej. A musi to czynić w godzinach urzędowych, kiedy czeka nań wielu, wielu interesantów, mnóstwo spraw pilnych. A dlatego, żeby zająć jego czas, muszą pracować na niepotrzebnych przejazdach konduktorzy, motorowi, służba drogowa, warty honorowe, delegacje i licho wie kto jeszcze.

Linja tramwajowa — to ponadto jakaś przekąska na zimno. Dłuższy kawał ulicy już śniadanie, gmach nowy — to cały obiad.

I po kiego licha to wszystko? Jeszczeby można było zrozumieć, gdyby z okazji zakończenia, pomyślnego zakończenia jakiejś roboty, urządzono wspólne śniadanko dla tych, którzy ją wykonali. Rozumiem, gdyby przy drewnianym stole, przy jakiejś prostej „zakąsce", a piwa szklance siedli robotnicy wraz z inżynierami i ucieszyli się, że oto czegoś dokonali. I oto gospodarz miasta, czy jego przedstawiciel siada z nimi, aby podziękować za pracę włożoną, zamanifestować uznanie społeczeństwa. Toby ostatecznie miało jakieś znaczenie. Gdyby — zakończenie tej pracy nie oznaczało bezrobocia dla tych, co znaleźli tu zatrudnienie. Ale zostawić tych, co pracowali za drzwiami i „ucieszyć się" czy świętować w zamkniętem kółku ludzi, z których znaczna większość nawet nie wie, o co chodzi, albo przybyła tylko dla „honoru", albo zbiegła się, żeby „opisać", aby w gazetach „stojało" — nie — to naprawdę jakiś dziki nonsens.

Toż ludzie z tego się śmieją — jeżeli mają dobry humor, a jeżeli są w złym humorze, to poprostu klną, jak ów interesant, który przyszedłszy do instytucji, dowiaduje się, że pan naczelnik, dyrektor, czy prezydent wyjechał... na poświęcenie chodnika przy ul. Smoczej, albo nowej latarni, albo jeszcze jakiejś tam inwestycji.

Naprawdę dość już tych uroczystości. Dość tych reprezentacyj wobec samych siebie. Dość tego wystrychiwania na dudków najpoważniejszych ludzi, dość tych przecinań tasiemek, poświęceń, otwarć, przejazdów — dość tych wszystkich przedstawień, i namaszczonych z nich sprawozdań — bo to naprawdę rzecz zupełnie niepoważna. A w wynikach — szkodliwa. Gdyż obywatel szary nie bardzo rozumie, dlaczego to nieraz ważną sprawę trzeba odłożyć, a ot na śniadanko z powodu otwarcia pijalni mleka iść trzeba. Nie zrozumie tego i szary obywatel — a nie zrozumie tego i żaden trzeźwy człowiek. A już jeżeli koniecznie owe otwarcia i poświęcenia być muszą — niech nie absorbują czasu ludziom poważnym, poważne zajmującym stanowiska.

MNIEJ HAŁASU — LEPSZA PRACA

Hałas wpływa ujemnie na psychikę ludzką: rozprasza uwagę, przyczynia się do powiększenia liczby nieszczęśliwych wypadków, oraz wpływa ujemnie na samą pracę, która staje się niedokładna i mało wydajna.

Przekonano się o tem ostatnio w jednej z berlińskich fabryk aparatów precyzyjnych. Oddział jej mechaniczny sąsiadował z oddziałem blacharskim, skąd dochodził ustawiczny stukot i hałas. Zauważono niebawem, że zpośród 200 aparatów, które montowano dziennie, coraz więcej wykazuje wady, spowodowane niedostatecznie staranną pracą montażową. Kary i apele do robotników, nie dawały wyników. Wówczas przeniesiono oddział mechaniczny do innej części budynku, gdzie panował zupełny spokój. Od tej chwili zmniejszyła się odrazu liczba błędów w montowaniu aparatów do dawnych granic.

Oto motyw natury ekonomicznej, poza względami zdrowotnemi, dowodzący konieczności dbania o ciszę i spokój przy pracy.

WYDAWNICTWA

W. Sieroszewski: „Marŝalo Józef Piłsudski". Biografio. Kun permeso de l'Autoro tradukis kaj komentariis Mgr. Fil. B. Strelczyk, p. 53. Warszawa 1934: Pola Esperanta Asocio.

Myślą było niezmiernie pożyteczną wydanie tej entuzjastycznej książki w tłumaczeniu esperanckiem. Dziełko Sieroszewskiego w ten sposób zyska szerokie koło czytelników na całym świecie. Jest to początek prac propagandowych, podjęty przez T-wo Esperanckie, początek niezmiernie doniosły. Esperantem posługują się dziś i Komunistyczna Rosja, i Hitlerowskie Niemcy i Faszystowska Italja. Esperanto uznali za narzędzie zarówno wolnomyśliciele, jak i katolicy. Dziwna rzecz, że właśnie u nas najmniej stosunkowo zyskał ten język zwolenników — najmniej też używamy go do zapoznania narodów świata z naszą kulturą i literaturą. Choć właściwie my właśnie ze swym językiem trudnym i mało rozpowszechnionym może najbardziej tego potrzebujemy.

Spodziewamy się, że p. Strelczyk nie poprzestanie na jednej książce i, że niebawem ujrzymy w druku dalsze jego prace — gdyż tłumaczem jest bardzo dobrym.

Marja Dąbrowska: „Noce i dnie. Powieść. IV Wiatr w oczy". Część pierwsza str. 310. Część druga str. 336. Warszawa 1934. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza.

Są to ostatnie tomy wielkiej powieści Marji Dąbrowskiej — mamy zatem całość. Obejmuje ona dzieje Niechciców aż do wybuchu wojny. Książce tej w najbliższej przyszłości poświęcimy osobne omówienie.

Leon Wasilewski: „La question des nationalites en Pomeranie", str. 53. Paris. Société Française de Librairie Gebethner et Wolff.

Leon Wasilewski jest jednym z najznakomitszych znawców spraw narodowościowych u nas. Łączy on głęboką naprawdę wiedzę z kultem dla narodów walczących, z głęboką wiarą w dźwiganie kultury przez zgodny wysiłek zróżnicowanych indywidualności narodowych. To nadaje ton każdej bodaj najmniejszej jego pracy, a dane, jakie przytacza, stają się naprawdę wiarogodne ze stanowiska ogólnoludzkiego. Polskość Pomorza uwypuklona przez takie pióro przestaje być argumentem czysto politycznym — staje się wartością kulturalną, o znaczeniu powszechnem.

Na treść dziełka składa się przedmowa, dotycząca sytuacji politycznej Pomorza, parę słów jego charakterystyki ze stanowiska prehistorji, dawne walki o Pomorze i jego dzieje w ramach niepodległej Rzeczypospolitej

szlacheckiej: germanizacja kraju i polska kontrakcja: stan obecny i parę słów o Kaszubach. Niezbita logika i doskonałe zestawienia cyfrowe obok przejrzystości wykładu stanowią zalety broszury.

Józef Borowik (Dyrektor Instytutu Bałtyckiego): „Gdynia — port Rzeczypospolitej". Wydanie 3-cie, str. 85. Toruń 1934. Nakładem Instytutu Bałtyckiego.

Najlepszym dowodem pożytku tej doskonale opracowanej książeczki, będącej i historją i przewodnikiem po Gdyni, napisanej z prawdziwem znawstwem — jest fakt, że podjęto już trzecie jej wydanie.

Józef Borowik, Director of the Baltic Institut. „Gdynia Polands Gateway to the Sea". Fifth edition. p. 97. Toruń 1934. Published by the Baltic Institute.

Ciekawe. Ta sama książeczka w angielskim języku osiągnęła już piąte wydanie.

Józef Borowik, Directeur de l'Institut Baltique: Gdynia, Port national de la Pologne. IV-e edition. Paris 1934. Societe Francaise de Librairie Gebethner et Wolff.

We Francji więc wychodzi książeczka o Gdyni w czterech wydaniach, gdy u nas doczekała się trzeciego.

Zygmunt Knothe inż. arch. „Toruń, stolica Pomorza" Przewodnik po mieście, str. 123. Toruń 1934. Nakładem Instytutu Bałtyckiego.

Doskonale opracowany i wydany przewodnik zawiera skrót dziejów, znakomity opis zabytków i okolicy tudzież wskazówki praktyczne. Jest to cenny nabytek dla naszej turystyki.

Franciszek Bielak i Jan Bystroń. „Dawniej i dziś" Wypisy polskie dla klas gimnazjalnych, str. 308. Warszawa 1934. Książnica Atlas.

Stanisław Jodłowski: Ćwiczenia gramatyczne ortograficzne i słownikowe. Dla kl. III szkoły powszechnej, str. 111. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1934.

St. Tync, J. Gołąbek i M. Dynowska: „Miasto i wieś" Czytanka polska dla III kl. szkół powszechnych miejskich, str. 167. Lwów — Warszawa 1934.

Ciż: „Wieś i miasto" czytanka polska dla III kl. szkół powszechnych wiejskich str. 160. Lwów — Warszawa 1934.

St. Niemcówna i St. Pawłowski. „Geografja dla kl. IV szkoły powszechnej". str. 175. Lwów — Warszawa. Książnica Atlas.

Dr. Gizela Gebertowa: „Przewodnik metodyczny do podręcznika z dziejów starożytnych i wczesnego średniowiecza dla I kl. Gimn." Str. 47. Lwów — Warszawa 1934. Książnica Atlas.

Treściwie ujęte wskazówki dla uczących, omawiające materjał pomocniczy do nauki w postaci ilustracji, literatury itd. Książeczka niewielka, a naprawdę pożyteczna.

Friedrich Lorentz, Adam Fischer, Tadeusz Lehr-Spławski: „Kaszubi, Kultura ludowa i język", str. XVIII + 506. Toruń 1934. Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. Wydane z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej.

Ciekawej tej książce poświęcimy niebawem omówienie osobne.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło*

Druk Piotra Laskauera W-wa, Marjensztadt 8 Tel. 222-39.